

odgłosy



5 (587)
 2. II. 1969 r.
 12 stron
 Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



„DZIŚ DO CIEBIE PRZYJŚĆ NIE MOGĘ”

(Janina Jabłowska i Bogdan Mikuć)

(Fot. A. Wach)

KONRAD FREJDLICH

SŁOWA W OGNIU

Miał trochę ponad trzydzieści lat, kiedy okrzyknięto go wieszczem. Miał ledwie trzydzieści lat, kiedy tłumy, kiedy prasa, kiedy dyrektorzy teatrów wznosili peany na jego cześć. I dostąpił zaszczytów, jakie nie spotkały za życia żadnego z polskich artystów, nawet proroków epoki Romantyzmu.

Stanisław Wyspiański, genialny odnowiciel teatru, przywykł do hołdów składanych mu ze wszystkich stron. W majestacie wieszczka pozostał wierny swoim nieustannym poszukiwaniom twórczym, burzliwym koncepcjom, niespokojnej myśli. Mimo kultu jakim darzono go w kraju, który pamiętał jeszcze powstanie listopadowe, Wiosnę Ludów i niedawne powstanie styczniowe, poeta, psuty nieustannymi pochwałami, nie „sklasyficyzował” zachował wieczną młodość. Był już wtedy twórcą „Wesela”, największego polskiego dramatu wszystkich czasów.

Pisano o Wyspiańskim wiele i chętnie, dawano mu różne, krańcowo odległe metryczki: dla jednych był romantykiem, dla innych przestarzałym już nieco poetą baroku, chętnie widziano go w kostiumie antycznym, dla większości jednak był mrocznym symbolistą, którego wizje zdolne będą odczytać dopiero następne generacje.

Jego choroba, a potem przedwczesna śmierć, okryły kraj szczerą, głęboką żalobą. Także z za grobu zbierał należne mu hołdy, chciano jego ciało złożyć na Wawelu pośród królów i wieszczów, którym był równy. Zadziwiające jest, że pomimo tego ogromnego kultu, tego uwielbienia długo nie uczyniono prawie nic dla zabezpieczenia pamiętek jakie zostały po poecie i prawie nic nie przedsięwzięto dla ochrony jego literackiej spuścizny.

Zamierzenia były na pewno ambitne, całą prasę obiegiły nie jeden raz apele o uczczenie pamięci poety i często organizowały się specjalne komitety dla zajęcia się artystycznym spadkiem wielkiego pisarza. Ale w działaniach nigdy nie udało się wyjść poza odezwy i zbiórki, składek pieniężnych. Toteż w miarę upływu lat, na ćwierćwiecze śmierci arty-

Dalszy ciąg na str. 3

EUGENIUSZ IWANICKI

WIELKIE ŁOWCY

Niedziela. Zasnuty mgłą wczesny ranek. Zimno. Stary „moskwicz” po wolutku przedziera się przez mleczną zasłonę. Po raz pierwszy jadę na polowanie. Obok mnie siedzi wesoły, przystojny mężczyzna. W jego ruchach wyczuwam radosne podniecenie. Śmieje się, odwraca do tyłu, gdzie wciśnięci w kanapę dwaj myśliwi rozmawiają o ilości pędzeń, przypuszczalnym odstrzale, zobowiązaniach koła i innych, brzmących dla mnie egzotycznie, sprawach.

Patronuje nam święty Hubert, bowiem jego wybrano na opiekuna myśliwskiego stanu. Podniecenie moich współtowarzyszy udziela się i mnie. Zaczynam odczuwać drżenie rąk i niepokój, którego nie potrafię wytłumaczyć. Czyżby strach? Ale łowczy klepie mnie w ramię i pyta czy znam anegdoty o myśliwych. Oczywiście znam, przecież nie ma na świecie większych blagierów od myśliwych i rybaków.

— Ale nie wiesz — mówi — jak się ciągnie na ciucha. Rzeczywiście, nie wiem. Więc — powiada wielki łowczy Bogumił Oleszczak — robi się to tak: przychodzi, dajmy na to, do koła łowieckiego młody myśliwy, który ma więcej fantazji i zarozumiałości niż doświadczenia. Taki młodziak jest bardzo trudny we współżyciu.

Zazwyczaj sprawia wiele kłopotu, wprowadza czasem dezorganizację, stwarza atmosferę napięcia. Zachodzi więc konieczność dania mu nauki. Starzy myśliwi przynoszą ze sobą na polowanie kota-kłusownika i ubierają go w skórę zajęca. W odpowiednim momencie wypuszczają kota, który z miejsca zaczyna sadzić w stronę najbliższego lasu. Nasz myśliwy strzela raz, drugi, ale w pośpiechu i podnieceniu chybia. Kot ogłuszony strzelaniną, przerażony do granic wytrzymałości dopada wreszcie pierwszego drzewa i błyskawicznie wspina się na sam wierzchołek. Młody myśliwy przestaje cokolwiek rozumieć.

Dalszy ciąg na str. 4



Z wytrwałością, godną celu sprawę, ZSRR powraca do pakietu swych propozycji rozbrojenowych, jakie zgłoszono w radzieckim memorandum w chwili przyjęcia przez ONZ układu o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej. Propozycje te powtórzył min. Gromyko na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, teraz zaś wysunięto je raz jeszcze — i to pod bezpośrednim adresem Stanów Zjednoczonych. W ostatnich dniach ZSRR ponowili gotowość podjęcia rozmów w sprawie dwustronnej redukcji środków przenoszenia broni nuklearnej.

Zauważmy moment, w jakim nastąpił nowy radziecki krok, okres bezpośrednio poprzedzający przejęcie władzy prezydenckiej przez Richarda Nixona. Daje to nowej administracji amerykańskiej możliwość skierowania polityki na tory pokojowego rozstrzygnięcia najważniejszych spraw.

Czy szansę tę Nixon wykorzystał? W jego inauguracyjnym przemówieniu, które — jak podkreśla niemal cała prasa amerykańska — pisał sam, bez doradców i speców od publicznych wystąpień, sprawy pokoju zabrzmiały dość mocno. W podtekście przemówienia znajdujemy zdanie:

„Wyznaczamy sobie za cel sprawienie, aby tam, gdzie pokój jest nieznan — stał się on mile widziany, aby tam, gdzie pokój jest kruchy — stał się on silny, aby tam gdzie pokój jest tymczasowy — stał się on trwały”.

Słowa te można by przyjąć z dużym zadowoleniem, gdyby wprost nie korespondowały z nimi inne:

„Będziemy tak silni, jak być musimy i tak długo, dopóki będzie to konieczne”.

Czy jest to zapowiedź zwiększonego programu zbrojeń?

Ogólnie jednak, jak pisze prasa zachodnia, Nixon próbował uspokoić „wzburzone fale polityki zagranicznej”, choć nie zapowiedział niczego nowego. Analiza jego wystąpienia potwierdza przewidywania, że nowy prezydent będzie się obecnie koncentrował na problematyce międzynarodowej, na plan pierwszy wysuwając: Wietnam, Bliski Wschód, rokowania rozbrojenowe z ZSRR i stosunki z ChRL na tę ostatnią możliwość wskazuje wprawdzie tylko jedno zdanie w jego przemówieniu, ale natychmiast podjęte przez większość komentatorów.

Optymistą, jak wynika z wywiadu w tygodniku „Life”, okazał się nowy sekretarz stanu — Williams Rogers, który stwierdził, iż w stosunkach międzynarodowych „istnieje wiele napawających nadzieją oznak”.

Czy ma to wskazywać na podjęcie szansy, jaką swą pokojową polityką otwiera przed nową administracją USA Związek Radziecki — pozostaje jeszcze pytaniem bez odpowiedzi.

Minione dni, zaznaczyły się napięciem i wysoką temperaturą polityczną w Czechosłowacji. Po „sprawie Smrkovskiego”, omawianej na tym miejscu przed dwoma tygodniami, elementem wzrostu napięcia stało się publiczne samobójstwo przez podpalenie się praskiego studenta — Jana Palacha. Jego desperacki krok potrzebny był siłom antysocjalistycznym, które też próbowały go maksymalnie wyolbrzymić i wykorzystać dla swoich celów. Te ostatnie zaś łatwo odgadnąć, chodzi o permanentne zakłócanie życia, sianie dezorientacji i wprowadzanie chaosu.

Na kolejną próbę wywołania kryzysu politycznego zdecydowanie odpowiedzieli prezydent Svoboda i premier Czernik, a także swym oświadczeniem z 24 stycznia, rząd federalny.

Zobowiązano ministra spraw wewnętrznych do powzięcia niezbędnych środków, łącznie z uruchomieniem w razie potrzeby żołnierzy Czechosłowackiej Armii Ludowej, w celu zapewnienia ładu i spokoju a przewodniczącego Komitetu ds Prasy i Informacji — do realizowania przez prasę, radio i telewizję polityki państwa. Zaapelowano również do pracowników nauki i młodzieży, aby nie pozwolili zerwać na swoich uczuciach nieodpowiedzialnym elementom.

Somobójcza śmierć Palacha jest dowodem, jakich środków mają się siły prawicy w swej, z premedytacją prowadzonej, walce przeciwko socjalizmowi. Jest ona tym bardziej zjadła, że w sierpniu ub. roku przekreślono im nadzieje na postępowanie losami Czechosłowacji w kierunku wyprowadzenia jej z socjalistycznej wspólnoty.

Wówczas, kiedy niezmiennie utrzymuje się za interesowanie rozwojem wydarzeń na Bliskim Wschodzie, a prasę światową obiegła wiadomość o przygotowaniu w Izraelu do produkcji własnej broni jądrowej — warto zwrócić uwagę czytelników na umacniające się kontakty na osi Tel Aviv — Bonn.

Bez rozgłosu składają sobie nawzajem wizyty przedstawiciele NRF i Izraela. O czym mówią w czasie tych coraz liczniejszych ostatnio spotkań?

Przede wszystkim o współpracy wojskowo-ekonomicznej. Jak bowiem wiadomo, Izrael korzysta z wysokiej pomocy finansowej Niemiec Zachodnich. Jej wielkość w ub. roku sięgnęła 3,5 mld marek. Kwoty te, rzecz jasna, wykorzystywane są przede wszystkim na rozbudowę sił militarnych. W znacznej części przeznaczają się je na budowę ośrodka atomowego oraz przygotowanie kadr specjalistów w dziedzinie nuklearnej. Trwa także wymiana doświadczeń. Oczywiście — ta współpraca nie służy sprawie pokoju. Krajom osi Tel Aviv — Bonn broń nuklearna potrzebna jest bowiem do militarnego szantażu.

W. Sławski

LISTY DO REDAKCJI

NA SZCZEBLU I GDZIE INDZIEJ

Dać komuś metryczkę „Łodzianin Roku” jest bardzo trudne. Tym bardziej że nie wiadomo jakimi kierować się kryteriami. A oceny ludzkie jakże często są subiektywne. Może i moja ocena kandydatury w którymś pojęciu będzie subiektywna? Mimo wewnętrznych oporów postanowiłem jednak poprzeć jedną z osób zgłoszonych przez „Odgłosy”. Jest nią kandydatura pani rektor Ireny Dryll. Aby nie być gołosłownym poslatam się uzasadnić swoją rację.

Prawie zawsze przedmiotem zainteresowań Autorki jest człowiek. Może fakt ten jest wynikiem ukończenia do datkowego fakultetu — socjologii? Chyba tak. Wachlarz zainteresowań duży: od inżynierów i techników, po kobiety z marginesu i alkoholików. Wszędzie Autorka dostrzega żywych ludzi. Pisze bez wody, bez wazeliniarstwa, przytacza konkretne fakty.

Pani Dryll nie boi się poruścić tzw. drażliwych spraw. Artykuły krytyczne, które często stawały się powodem do zwotywnia zebrań i odpraw „na szczepku” stawiają panią Dryll w pierwszym szeregu odważnych, bezkompromisowych dziennikarzy.

Wyłożyłem swoje racje, po staralemi uzasadnić kandydaturę pani Ireny Dryll, dziennikarki z prawdziwego zdarzenia. Dziennikarz jest swego rodzaju barometrem jakiegoś aglomeracji ludzkiej. Jego wartość zależy od stopnia zaangażowania, od zwięzłości z życia i zyciem tej aglomeracji. W moim przekonaniu osoba pani Dryll, osoba łodzkiej, popularnej dziennikarki wrosła w nasze miasto mocnymi korzeniami. Jak do tychczas czytelniczcy nie zawiedli się na niej, i między innymi dlatego osobiscie, gorąco życząc Jej aby wybrana została „Łodzianką 1968”.

Eugeniusz Wojech

SKROMNOŚĆ I PRACOWITOŚĆ

Bardzo lubię „Odgłosy” i cenię, bo to tygodnik wszechstronny, zawsze aktualny, ciekawy i nasz łódzki. Mam głębokie uznanie dla wszystkich Redaktorów i cieszę się z ogłoszonego konkursu-plebiscytu. To bardzo dobra myśl, tylko założenia na Łodzianina r. 1968 trzeba by dokładniej sprecyzować. Przeczytałam wszystkie sylwetki i dostałam do następujących wniosków:

Łodzianinem r. 1968 powinien zostać człowiek skromny, pracowity, pogłębiający stale swoją pracę i przynoszący naszemu miastu chlubę. Spośród wymienionych 10 sylwetek na I miejscu stawiam Stefana Justa.

Uzasadnienie: Człowiek skromny, idący własną drogą, szukający wciąż nowych rozwiązań często tego samego tematu, aby jak najlepiej przekazać swoją myśl odbiorcy. Nie mnie szukać rozgłosu. Praca jest jego życiem. A praca artysty malarza nie jest łatwą. Ież wymaga zmagania i wysiłku, aby obraz poprzez nastrój emanujący z niego wywołał u widza pożądane przeżycie.

Skromność i pracowitość — to dwie najważniejsze cechy Stefana Justa, nie mówię już o talencie, bo ten stale przez pracę rozwijany pogłębia się i doskonali. Żyje skromnie zamknięty w swojej pracowni. Cieszy go każde przyjazne słowo i dodaje siły do pracy. Nie jest łodzianinem z urodzenia, ale to tym bardziej należy cenić, że po wojnie upodobał sobie nasze

OD REDAKCJI

W odpowiedzi na ogłoszony przez nas konkurs-plebiscyt pod hasłem „Łodzianin 1968”, napływają do nas listy Czytelników głosujących na kandydatów, których sylwetki zamieściliśmy w numerze świątecznym. Najciekawsze z dotychczasowych wypowiedzi już publikujemy, aby zachęcić wszystkich, którzy nie zdecydowali się jeszcze wypowiedzieć swej opinii, do zabrania głosu. Jednocześnie dajemy dodatkową szansę udziału w losowaniu nagród za poparcie naszego plebiscytu tym spośród Czytelników, którzy cierpiąc na piór-wstręt przerazili się potrzeby umotywowania swego wyboru na piśmie. Jedną spośród nagród rozlosujemy wśród tych, którzy ograniczają się do nadesłania na adres naszej redakcji samego tylko nazwiska wytypowanego przez siebie „Łodzianina Roku”. Aby ułatwić tę czynność przypominamy, w porządku alfabetycznym, listę naszych kandydatów do tego tytułu:

HENRYK DEBICH, IRENA DRYLL, WIEŚLAW JAZDZYŃSKI, STEFAN JUST, JERZY KRAWCZYK, HALINA KRYSIŃSKA, HELENA LANCKORZYŃSKA, BARBARA NIEMCZYK, MARIAN PIECHAŁ, ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI.

Ze zrozumiałych względów musimy więc także przedłużyć termin nadsyłania głosów. Ustalamy go ostatecznie na dzień 28 lutego br., zaś rozstrzygnięcie plebiscytu nastąpi 1 maja.

miasto, nie wrócił do Warszawy, tylko w naszym mieście żyje, pracuje i przynosi mu zaszczyt.

Nie dostał nigdy żadnej nagrody.

Wydała mi się, że taki człowiek powinien być wyróżniony.

P. Piechał (bardzo go lubię) jest już znanym i uznanym literatem, otrzymywał nagrody. P. Debich głośny jest nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Ma również wiele uznanie. Podobnie p. Dryll. Na tomiast postępek p. Krawczyka, p. Krysińskiej i p. Wojciechowskiego powinien być normalnym odruchem każdego człowieka znajdującego się w danej sytuacji.

Bardzo chciałabym, aby „Odgłosy” ocalaly ludzi skromnych a zasłużonych dla naszego miasta od zapomnienia.

Stanisława Jablkiewicz

akwarele szkice lub obrazy przedstawiające obrzędy lub typy ludowe. Te znajdują się w zbiorach Regionalnego Muzeum w Tomaszowie Maz. i w prywatnym posiadaniu.

Bronisława Dekowska

KREW JAK CHLEB

Zdrowie jest podstawą wszelkiej działalności ludzkiej. Nie może być radości żadnych bez fizycznej sprawności. Przeto zrozumiałym jest fakt, że gdy człowiek czło-wiekowi przywraca, „oddaje” zdrowie, trudno go za to nie szanować, nie kochać. A gdy to jest lekarz, to tym bardziej ludzka wdzięczność jest nieskończona...

Colym sercem jestem za dr Haliną Krysińską.

Hanna Galantowa

Dla mnie „Człowiekiem Łodzianin 1968” jest Pani dr Halina Krysińska która dla ratowania życia dziecka — będąc na dyżurze w szpitalu im. Korczaka — oddała własną krew. Czy może być piękniejszy przykład człowieka, lekarza i kobiety? Jestem przekonana, że większość głosów otrzyma Pani dr Halina Krysińska, której tego życzy z całego serca —

K. Turkowska

Dr Krysińską poznałam na wakacjach nad morzem. Pomimo urlopu często wzywana przez rodziców do chorujących dzieci przerywała swój wypoczynek i biegła udzielić pomocy choremu dziecku. A był i taki przypadek, że i w nocy nie odmówiła pomocy i porady. Dlatego Dr Krysińska ma pełne prawo do tytułu: „Człowiekiem Łodzianin 1968”.

Maria Kurowska

Z ŁÓDZKIEJ GLEBY

Nareszcie po raz pierwszy dowiemy się, który łodzianin zasłużył na ten zaszczytny tytuł.

Dla mnie osobiście wybór kandydata nie jest trudny. Z przyjemnością i bez żadnych oporów wewnętrznych głosuję na Mariana Piechała. Uzasadnienie tego kandydata wydaje mi się bezcelowe, gdyż Marian Piechał to „dziecko Łodzi”. Całą swoją twórczością literacką wrosł w łódzką, z której wyrósł piękny owoc poezji i prozy literackiej — opiewające blaski i cienie naszego życia łódzkiego. W pełni więc zasługuje na miłano „Łodzianina 1968”.

Na kandydata numer 2 bez zastrzeżeń głosuję na Henryka Debicha. Najlepszą Jego wizytówką jest Łódzka Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji, która od szeregu lat umila nam czas po pracy i rozślawia nasz gród. Poza tym przemawia również Jego bogata i dynamiczna działalność artystyczno-muzyczna.

Sabina Pudełek

GŁOSUJĘ NA MALARZA

Stefan Just — artysta malarz jak najbardziej zasłużył przez swą pracowitość, wytrwałość i skromność (cecha ludzi wybitnych) by znalazł uznanie — i został Łodzianinem roku 1968. Łódź powinna być dumna i szczęśliwa, że ma tego artystę i może się nim szczycić.

Jego obrazy na temat martyrologii Polaków w czasie okupacji odzwierciedlają te czasy dla nas bolesne. Czyta się z obrazów tych jak z książki: tragizm, cierpienie, bezsilność, osaczenie Polaków, a nastrój ten podkreśla artysta odpowiednią kolorystyką barw w odpowiednich tonacjach i załamaniach użytych.

Jego portrety, to żywi ludzie.

Razu pewnego, pamiętam, zwiędziała Muzeum w Tomaszowie starsza kobieta ze swoją wnuczką. W pewnej chwili przystąpiła przed portretem (dzieło St. Justa), rzuciła się na ten portret (przedstawiający jej babcię, jak objaśniła wnuczkę i mnie) jakby chciała tę postać objąć, uściskać, przemawiała do portretu, zalewała się łzami ze szczęścia — powtarzając: „Widzisz wnusiu, to moja babcia — jak żywa, jak żywa.”

Bardzo cenne jako pomniki kultury ludowej są jego



NIEWYGODNY SPADEK

Rys. Ibis Gratkowski

Słowa w ogniu

Dalszy ciąg ze str. 1

sty, apele przemieniają się w krzyk o ratowanie zbiorów, jakie pozostawił Wyspiański. Było ich wtedy wiele, bardzo wiele, bo ogromny był dorobek wielostronnego artysty: malarza, scenografa, inscenizatora a przede wszystkim poety. Dzieła plastyczne, obrazy i drobne szkice, krążyły wśród ludzi podobnie jak odpyski rozległej korespondencji, którą prowadził całe swoje życie. Teki rękopisów, egzemplarze autorskich wydań książek z poprawkami nakreślonymi jego ręką znajdowały się u rodziny poety. Liczne pamiętki po nim, afisze teatralne, projekty scenografii, programy spektakli grzęzły w kolekcjach zbieraczy i cała ta rozległa dokumentacja działalności artystycznej Wyspiańskiego ulegała stopniowemu rozproszeniu.

Chciałbym tutaj przedstawić dramatyczne koleje losu największego, scalonego zespołu rękopisów Wyspiańskiego, jaki posiadała przed wybuchem II wojny światowej Biblioteka Narodowa w Warszawie. Dziś, kiedy autografów tych już nie ma, historia ich zagłady tym bardziej domaga się przypomnienia. W bieżącym roku minie dokładnie dwadzieścia pięć lat od ich bezpowrotnego przypadku: papiery spisane ręką Wyspiańskiego podzieliły bowiem los spalonej po powstaniu Warszawy.

Materiały poświęcone działalności literackiej artysty ze Skałki poczęto gromadzić w Bibliotece Narodowej na rocznicę czterdziestu śmierci Wyspiańskiego. Zrazu były to zaledwie akta sądu obwodowego w Stanisławowie z roku 1900, dwie teki materiałów procesowych ze sprawy karnej przeciwko Nucie Marmoroszewi oskarżonemu o zbrodnię morderstwa. Wydarzenia w Jablonicy, małej wiosce nieopodal stacji kolejowej Tatarów, stały się osnową dramatu Wyspiańskiego „Sędziowie”, który ukazał się drukiem na krótko przed śmiercią poety. Poza tym aktami Biblioteka Narodowa dysponowała w tym czasie depozytem złożonym przez Wandę Chmielową. Był to zbiór listów Stanisława Wyspiańskiego do Adama Chmiela, którego dramaturg wyznaczył opiekunem swojej literackiej spuścizny. Depozyt ten zwrócono właścicielce w marcu 1939 roku¹⁾.

Ale w roku 1932 Stefan Demby, ówczesny dyrektor Biblioteki Narodowej nabył od córki Wyspiańskiego, Heleny Chmurskiej, ogromną tekę autorską rękopisów poety zgromadzonych przez niego samego. Były to oddzielne tomy autografów, oprawy w szare angielskie płótno, z czerwoną paginacją Adama Chmiela. Tak zabezpieczone rękopisy Wyspiańskiego i ich kopie wykonane przez Janinę Stankiewiczową pod nadzorem artysty, wiele lat przeleżały w zbiorach rodziny poety, zanim je wreszcie zakupiła Biblioteka Narodowa. Był to nabytek ogromnej wartości dokumentalnej. Dość powiedzieć, że wcześniej Biblioteka Narodowa posiadała tylko jeden list Wyspiańskiego do Tadeusza Boya-Zeleńskiego pochodzący z kolekcji Jana Kwietniewskiego.

W oficjalnym wydawnictwie z roku 1934 pt. „Biblioteka Narodowa: Rękopisy — nabytki i dary” zarejestrowano wszystkie materiały z autorskiej teki Wyspiańskiego. Długa lista obejmuje większość literackiej spuścizny poety, brak na niej właściwie tylko tego, czego Wyspiański sam nie zachował, bo nie od początku zabezpieczał swoje rękopisy. Znajdziemy więc na tej liście dwie redakcje dramatu „A-

chilleis”, autograf „Akropolis”, są tu — „Sędziowie”, jest wreszcie „Wesela”. Wylizanie wszystkich pozycji miało by się z celem²⁾, skatalogowano ich bowiem aż trzydzieści, co daje chyba pojęcie o zawartości nabytku.

I wtedy przyszedł wrzesień roku 1939, miesiąc oblężenia Warszawy bombardowanej niemal bezkarnie przez niemieckie samoloty. Pomieszczenia biblioteczne na Krakowskim Przedmieściu nie stanowiły dostatecznej ochrony dla bezcennych zbiorów rękopisów (Biblioteka Narodowa miała ich blisko 40.000). Najcenniejsze kodeksy i autografy zapakowano do skrzyń i wywieziono na Żoliborz do fortu³⁾. Z pomieszczeń Centralnej Biblioteki Wojskowej zbiory autografów Wyspiańskiego przeniesiono więc wraz z innymi dokumentami do umocnień Archiwum. Ale mimo tych zabezpieczeń los obszedł się z pamiętkami po poecie bardzo nielaskawie: skrzynia zawierająca autografy utworów



Wyspiańskiego, została rozbita, niektóre rękopisy uległy całkowitemu zniszczeniu, inne były zdefektowane.

Straty były ogromne — niszczyły trzy sceny „Wesela” pominięte w druku, przepady bezpowrotnie „Achilleis” i „Samuel Zborowski” — nie jest tutaj możliwe wliczenie wszystkich strat podczas obrony Warszawy. Ale zabezpieczenie rękopisów w formie okazało się mimo wszystko celowe: gmach Biblioteki Wojskowej trafiony bombą sponął, zaś w lokalu na Krakowskim Przedmieściu ogromne spustoszenia wyrządziły dwa niemieckie granaty.

Po kapitulacji stolicy okupanci zaprowadzili własne porządki. Wszystkie zbiory Biblioteki Narodowej Uniwersyteckiej połączone w jedną organizację: Staatsbibliothek Warschau. Rządy w tej instytucji ob-

jął dr Witte i wzytator niemiecki dyr. Abbe. Witte, choć Niemiec, był bibliofilem, wyżej więc cenił książki niż powinności wobec Reichu i Führera. Dzięki temu zbiory przewieziono do gmachu przy ulicy Rakowieckiej, za zgodą okupacyjnego dyrektora, udostępniane były Polakom.

Dyrektor zakładów graficznych Biblioteki Narodowej Władysław Pofit, który pracował w czasie okupacji w magazynach książek wspomina, że bibliotekarze często omijali niemieckie instrukcje. Oddział II Staatsbibliothek Warschau, który między innymi zajmował się zwózką zbiorów ze zlikwidowanych księżnic szkolnych, przekazywał potajemnie potrzebne lektury młodzieży kształcącej się na podziemnych kompletach. Kierownik magazynów Andrzej Stolarski przepłacił tę działalność śmiercią. Niemcy wywieźli go i zamordowali w Majdanku.

Rękopisy stanowiły oddział III biblioteki. Jego kierownikiem został dr Pulikowski, człowiek małego ducha, gorliwy wykonawca poleceń władz okupacyjnych. Nadgorliwości tej w pewnej mierze przypisać można połogę ponad 30.000 rękopisów w roku 1944. Wśród nich splonęły niemal wszystkie autografy Wyspiańskiego.

Z chwilą napaści Niemiec na Związek Radziecki, kiedy wydawało się, że Warszawa znów znajdzie się w zasięgu działań wojennych, okupanci zarządzili transport „zbiorów specjalnych” do gmachu Biblioteki Krasiejskiej. Jeśli pretekstem do tego transportu miało być lepsze ich zabezpieczenie, trzeba stwierdzić, że lokalizacja bezcennych rękopisów na ulicy Okólnik, w pobliżu mostów na Wiśle i dwor

chrony dla swych zbiorów. Depozyty składane przez tych, co nie czuli się bezpiecznie we własnych domach, zajmowały sporą część drugiego piętra gmachu przy ulicy Okólnik.

Z lat okupacji pochodzi kolejny nabytek Biblioteki Narodowej związany z twórczością Wyspiańskiego. W r. 1942, najprawdopodobniej za pieniądze organizacji podziemnych zakupiono kolekcję Zenona Przesmyckiego — listy i dokumenty komitetów uczczenia pamięci autora „Wesela” w Krakowie i Warszawie. Są tam wypowiedzi najwybitniejszych polskich pisarzy o Wyspiańskim, chodzi więc o zbiory dużej wartości. W tym samym roku zakupiono autograf rękopisu poety „Pociecho, moja ty książeczko”.

Po klęsce stalingradzkiej, kiedy front przybliżył do ziem polskich, podjęto kolejną próbę ratowania rękopisów. Dziecię skrzyń autografów z różnych epok wywieziono do Biblioteki Zamovskich, inne chciano ukryć w podziemiach warszawskich kościołów, ale wilgotne pomieszczenia uniemożliwiły realizację tych zamiarów. Pewną wreszcie partię rękopisów okupanci wywieźli do Niemiec. Wśród nich znalazły się najprawdopodobniej niektóre autografy Wyspiańskiego, które po wielu latach powróciły do Polski.

Tak nadszedł rok 1944, rok dla Wyspiańskiego jubileuszowy, siedemdziesiąta piąta rocznica urodzin. Warszawa uczciła go konspiracyjnym wystawieniem fragmentów „Wesela”, „Akropolis” i „Sędziów”. Grano Wyspiańskiego na Tamce, w mieszkaniu państwa Zabielskich, jak to podaje w swojej książce I. Gall, twórca konspiracyjnego studia dramatycznego.

Potem przyszło powstanie. Doc. Zathej wspomina (pisane w 1947 r.):

„Ta dziwna mieszanina strachu i odwagi, sytości i głodu, dziejów zamierzonego średniowiecza z kart zakurzonych pergaminów i dziejów bieżących chwili pisanej krwią, ta mieszanina śmierci i życia. Te noce radosnego oczekiwania nad stosem książek na nalot, który już wtedy mógł przynieść zagładę. Te chwile kurczenia się całym ciałem przy pracy zimą w nie opalonym magazynie i znowu chwile entuzjazmu i rozszerzenia ducha w triumfalnej radości z dobrych wiadomości lub z niezwykłych wyników pracy. To wszystko jest zapisane gdzieś pod sercem... Ale to może za mało?”

W sierpniu 1944 gmach przy ulicy Okólnik bombardowany był przez Niemców z niskiej wysokości. Bomby spadły otworzyły ogromne szkody. Po upadku powstania gmach doszczętnie spalili: znalaziono później w tym miejscu tylko żelazne, pogięte i szerniałe półki. Ale rękopisy Wyspiańskiego, jak to wynika z listu Irminy Siliwińskiej do prof. Leona Płoszewskiego, znajdowały się wtedy w budynku Biblioteki Zamovskich. Czego nie dokonały bomby, zrobili z zimną krwią niemieccy żołnierze równajacy z ziemią Warszawę po upadku powstania. W roku dla Wyspiańskiego rocznicowym niemal wszystkie jego rękopisy przemieniły się w popiół i zmieszaly z ruinami okrwawionej stolicy. Ale myśl wieszczą ze Skałki, jego „teatr ogromny”, jego książki o nieprzemijającej wartości ocalały dla nas na zawsze. I wiecznie będą nam towarzyszyć drogami, które wyznaczył niespokojny duch artysty.

KONRAD FREJDLICH

P. S. Chciałbym w tym miejscu wyrazić swoją głęboką wdzięczność pracownikom oddziału rękopisów Biblioteki Narodowej za pomoc w zbieraniu materiałów.

K. F.

1) Informacje udzielone przez mgr Bogumiła Kupcia, kierownika zakładu rękopisów Biblioteki Narodowej.

2) Korzystam tutaj i w dalszych partiach z pracy prof. Leona Płoszewskiego „Źródła i zasady wydania” zamieszczonej w tomie I „Dzieł zebranych” Stanisława Wyspiańskiego, Wydawnictwo Literackie, 1964.

3) Dr Jerzy Zathej „Dział rękopisów Biblioteki Narodowej w okresie okupacji”, maszynopis.

Życie wśród książek

Zaczął się to dokładnie pięćdziesiąt lat temu. W Łodzi jako drugi w kraju, po Warszawie, zorganizował się oddział Związku Bibliotekarzy Polskich. Bibliotekarzy a więc ludzi, którzy są współtwórcami sukcesów pisarzy i na równi z nimi dzielą ich księski. Z tym może, że pisarze spotykają się z czytelnikami od święta, galowo, a bibliotekarze spotykają się codziennie. Życie wśród książek to życie wśród ludzi, którzy je czytają.

Skrzętli kronikarze odnotowali dzień, w którym pierwszych dwudziestu entuzjastów książki w Łodzi odbyło swoje organizacyjne posiedzenie. „Celem Koła — głosiła uchwała jego założycieli — będzie praca nad udoskonaleniem bibliotek i czytelnictwa jak również dążenie do podniesienia poziomu wykształcenia fachowego bibliotekarzy drogą samoucznia”. Kiedy padały te słowa, 19 stycznia 1919 roku, był to na owe czasy program bardzo ambitny. Dość powiedzieć, że na terenie ogromnego robotniczego miasta istniało około osiemdziesięciu księżnic, z których jedna właściwie tylko, Miejska Biblioteka Publiczna, godna była swojej nazwy. I tylko ona jedna zatrudniała etatowych bibliotekarzy. Bibliotekarstwo nie było wtedy jeszcze zawodem: było powołaniem, było pasją, rzadko jednak dawało chleb.

A jednak młode stowarzyszenie, w którym na początku większość stanowili samoucy i amatorzy, szybko zdobyło sobie autorytet w robotniczym mieście, którego kulturalne potrzeby daleko wybiegały poza organizacyjne możliwości bibliotek. Zdobywali ten autorytet ciężką, mozolną drogą samokształcenia i na kursach, które zastępowały nie istniejące wtedy w Polsce szkoły zawodowe tego kierunku. Zasłużony bibliotekarz, prof. Jan Augustyniak, wieloletni przewodniczący Związku wspomina, że na pierwszym tego rodzaju kursie zorganizowanym w Łodzi w 1922 r. sam musiał prowadzić wszystkie zajęcia, gdyż w całym mieście nie można było znaleźć wykładowców. Miał entuzjazm, ale po wielu godzinach prelekcji, brakowało mu ichu.

A jednak wysiłki te szybko wydały pierwsze owoce: w Łodzi

pojawiała się spora grupka bibliotekarzy miejskich, zdolnych do najwyższych poświęceń, zakochanych w swoim zawodzie. Prof. Augustyniak poprzez organizację związkową podjął walkę o poprawę ich bytu, podniesienie rangi profesji. Starania te aż do wybuchu wojny nie przyniosły jednak rezultatów. Podczas okupacji zaś bibliotekarze musieli walczyć o egzystencję polskiej książki w ogóle i własne ich sprawy zawodowe zeszły na plan dalszy.

Łódzkie Koło reaktywano, po klęsce okupantów, już w pierwszych miesiącach wolności. Awans kulturalny miasta, powstanie wyższych uczelni, obecność pracowników nauki poszerzyły znacznie szeregi bibliotekarzy. Książka zdobywała ulice, otwierały się nowe wypożyczalnie, więc było tych profesjonalistów, świadomych swojej pracy, ciągle mało i mało. W

pierwszych latach po wojnie nowi pracownicy bibliotek wchodzili do zawodu, jak kiedyś, poprzez kursy. Nie musieli już jednak zabiegać o uznanie swojej profesji: jednym z pierwszych aktów normatywnych władzy ludowej był dekret o bibliotekach.

Co było dalej, już wiemy: są to sprawy w zasięgu naszej pamięci. Nie będziemy przytaczać tu statystyk rozwoju czytelnictwa w mieście, sieci księżnic, ilości bibliotekarzy i ich wysokich kwalifikacji zawodowych. Bibliotekarze są przecież ludźmi, których znamy wszyscy, bo książka stała się czymś tak samo niezbędnym jak chleb czy powietrze — dziś książką się oddycha. Założony przed pięćdziesięcioma laty Związek nosi teraz nazwę Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich.

Pół wieku, w naszych warunkach, to jubileusz sędziwy. Okazja

do wspomnień, spotkań, anegdod. I do bicia w wiekie dzwony. Ale oni, bibliotekarze, chcą uczcić swoje święto pracy. Przygotowują na tę ważną rocznicę sesję popularno-naukową, na której przedstawia wyniki swoich badań ankietowych. Na temat bibliotek fachowych i szpitalnych. Na temat współpracy ośrodków informacyjnych bibliotek naukowych.

Nie wątpię, że ich obrady będą, jak zawsze, owocne. I żarliwe. A jako człowiek pióra chylę czoła przed ich mozolem i trudem. Chciałbym tutaj wyrazić swój hołd dla bibliotekarzy, którzy z książką ścigali drogę najkilkuszych wzruszeń do ludzi. Zresztą inaczej być nie może. Życie wśród książek, to nie jest życie wśród papierów i spalonych. To życie czynne: z ludźmi i dla ludzi.

J.D.

PIJANE niebezpieczeństwo

W roku 1968 na terenie Łodzi zanotowano ogółem 1507 wypadków drogowych, w których śmierć poniosły 53 osoby, w tym 4 nieletnie. Ciężkich, bądź lekkich obrażeń ciała doznało 1615 osób, z tej liczby 196 to dzieci i nieletni. Uszkodzeniu uległo 908 pojazdów, a suma strat wyniosła około 3 milionów złotych.

W porównaniu z latami ubiegłymi nastąpił więc wzrost wypadków drogowych i można by tu wymienić szereg przyczyn tego stanu. Na pewno ma tu swój wpływ dynamiczny rozwój miasta, powstawanie nowych osiedli, przyrost ludności oraz wzrost liczby pojazdów.

Można by tu wymienić ciasnotę łódzkiej ulic, otwarcie nowych linii tramwajowych i autobusowych, niedostateczny stan nawierzchni, przejazd przez Łódź znacznej ilości pojazdów z innych miast i województw. Można by wymienić jeszcze wiele tzw. przyczyn obiektywnych, ale i tak wiadomo, że fakty najbardziej obciążają użytkowników dróg, czyli po prostu kierowców i pieszych. Gdyby wyliczyć główne grzechy kierowców trzeba by zapisać następujące przyczyny wypadków: nieprzestrzeżenie pierwszeństwa przejazdu, nadmierna szybkość, nietrzeźwość, wyprzedzanie i wymijanie niezgodne z przepisami. Grzechy pieszych: gwałtowne wtargnięcie na jezdnię, nietrzeźwość, czepianie się środków lokomocji, nieprawidłowe przekraczanie jezdni.

Kierowcy spowodowali 783 wypadki, piesi 724. To ponury bilans tylko jednego roku.

Wśród wyliczonych powyżej drogowych przestępstw obu grup, powtarza się to samo sformułowanie — nietrzeźwość. To niepokojące i szczególnie niebezpieczne zjawisko warto szerzej omówić — każdy pijany na jezdni, bez względu na to, czy siedzi za kółkiem kierownicy, czy tylko przechodzi na drugą stronę, może w każdej chwili spowodować tragiczny w skutkach wypadek.

W roku 1968 nietrzeźwi kierowcy spowodowali 42 wypadki drogowe, w których śmierć poniosły 2 osoby, a 35 zostało rannych.

Zawinił alkohol, a przede wszystkim nieodpowiedzialność i lekkomyślność owych 42 kierowców, choć to zwroty w stosunku do nich zbyt eleganckie i trzeba było aż tragedii, aby każdy z tych pewnych siebie panów, którym mniejszy lub większy rausz nie przeszkadzał w prowadzeniu pojazdu, zrozumiał, że nie powinien zapalać silnika. Niestety, zbyt jeszcze często obserwujemy lekceważący gest reki, który jest odpowiedzią na argumen-

tację, że duże piwo, to około 0,5 promille alkoholu we krwi, to od powiednio zmniejszona szybkość reakcji psychomotorycznej, to często tylko o ułamek sekundy spóźnione hamowanie. Ze wczorajsza większa wódka może dziś spowodować czyjąś śmierć lub kalectwo, może spowodować rozbięcie własnego samochodu i własnej głowy.

Dane liczbowe wskazują, że największa ilość wypadków drogowych, wynikłych na skutek nietrzeźwości kierowcy, miała miejsce w centralnej dzielnicy miasta, szczególnie w dniach przedświątecznych, targowych, a także w dniach popularnych imienin. Dane te pokrywają się z rozmieszczeniem w poszczególnych dniach tygodnia — najczęściej wypadków zanotowano w soboty, potem w piątki i poniedziałki.

Co się w Łodzi robi, aby wypadków drogowych spowodowanych przez nietrzeźwych kierowców było jak najmniej? Działalność profilaktyczna prowadzona jest przede wszystkim przez łódzką milicję, a szczególnie przez Służbę Kontrolną Ruchu Drogowego. Niewątpliwie najważniejszą formą tej działalności jest „wyłapywanie”, podczas różnego rodzaju akcji, nietrzeźwych osób za kierownicą. W ten sposób w ubiegłym roku podczas 176 akcji zatrzymano prawa jazdy 469 kierowcom, którzy mogli powiększyć liczbę wypadków, gdyby w porę nie zatrzymał ich lizak milicjanta.

Inne formy zapobiegania, to organizowanie spotkań z kierowcami i dyspozytorami baz transportowych, z kierowcami pojazdów prywatnych, motorniczymi MPK, z kierownikami szkół i młodzieżą w zakładach pracy. Podczas takich spotkań wskazuje się na przyczyny wypadków i ich skutki. Wyświetla filmy, prezentuje wystawy. W pracy tej wydawnictwa milicji szeroki aktyw społeczny — ORMO i społeczni inspektorzy ruchu drogowego.

Nie da się jednak ukryć, że najskuteczniejszą bronią w walce z pijanymi kierowcami jest represja karna. Wprawdzie często wymierza się ją po katastrofie, ale również często, ot choćby w wypadku specjalnych akcji milicyjnych, jest to jeszcze profilaktyka.

Sprawy takie rozpatrywane są bądź to w Kolegiach Karno-Administracyjnych, bądź też w IX Wydziale Karnym Sądu Powiatowego. Ta dwoistość nie zawsze wchodzi na dobre. Okazuje się, że Sąd nie jest w stanie załatwiać tych spraw w krótkim terminie, często od wypadku do momentu ogłoszenia wy-

roku mija kilka miesięcy. Inny już jest wtedy stosunek oskarżonego do przestępstwa, nie ma możliwości natychmiastowego ukarania, ba, analiza poszczególnych orzeczeń wskazuje, że polityka karna jest czasem zbyt liberalna.

Barażniej właściwa, a przy tym nie mniej natychmiastowa jest działalność kolegiów karno-administracyjnych. I tutaj wyłania się problem, którego od lat jakos w Łodzi nie można rozwiązać, sprawy dotyczące wypadków rozpatrywane są we wszystkich łódzkich kolegiach. Wprawdzie pracują tam zespoły z pewnymi motoryzacyjnymi kwalifikacjami, wydaje się jednak, że słuszniej byłoby powołać na wzór jednego organu sądowego i prokuratury, jedno specjalistyczne kolegium dla całego miasta, z pełnym zespołem ławników, którzy zajęliby się tylko i wyłącznie wypadkami drogowymi.

Gdyby kogos nurtowało pytanie, bardzo ważne z punktu widzenia interesu społecznego — ilu wśród łódzkich kierowców jest nalogowych alkoholików, to nie można by tu udzielić precyzyjnej odpowiedzi.

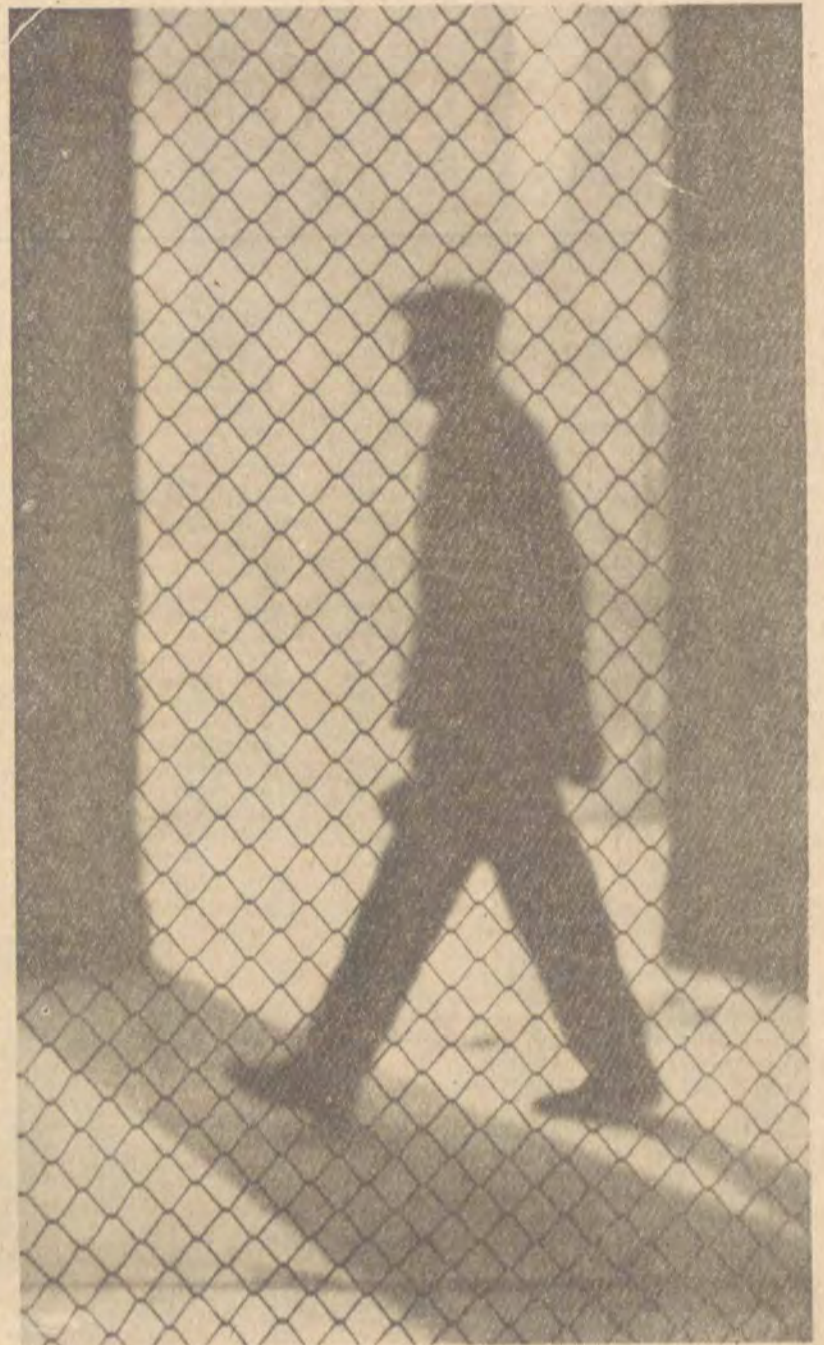
Na podstawie niepełnych danych wynika, że w Izbie Wyrzeczeń w okresie od 1960—1967 przebywało 379 kierowców, a znaczna ich część znalazła się tam kilkakrotnie. Bywają nawet „rekorzisci” notowani po 15, 16, a nawet 27 razy.

Fakt, że człowiek, który kilka razy był notowany w Izbie, w dalszym ciągu może jeździć, jest szczególnie niepokojący. Izba Wyrzeczeń kontaktuje się wprawdzie z Wydziałem Komunikacji, Wydział zawiadamia pracodawcę, może także skierować podejrzanego o alkoholizm do lekarskiego badania, w wypadku zaś stwierdzenia nalogu odebrać prawo jazdy, ale to wszystko jeszcze mało. Bardzo trudno udowodnić jest lekarzowi, bez szczególnie wnikliwych badań i obserwacji, że ktoś jest alkoholikiem. Poza tym praktyczna realizacja Zarządzenia Ministra Komunikacji z dnia 23.XI.1963 r. w sprawie zasad colania praw jazdy jest utrudniona, ze względu na brak określenia kryteriów, jakimi winny się kierować rejonowe służby zdrowia przy wydawaniu orzeczeń o niezdolności do prowadzenia pojazdów przez osoby podejrzane o nalogowy alkoholizm. Te sprawy jeszcze czekają na rozwiązanie.

Wydaje się, że nawet pojedynczy wypadek zatrzymania w Izbie Wyrzeczeń kierowcy, szczególnie zaś zawodowego, powinien być ważnym sygnałem dla przedsiębiorstwa. Sygnałem wzmagającym czujność, a nawet wywołującym konsekwencje służbowe.

Może należałoby wreszcie powołać do życia związek zrzeszający wszystkich kierowców, do dziś rozproszonych w związkach różnych branż. Pozwoliłoby to zorganizować ściślejszą kontrolę nad podejrzany o pijanstwo, a o to przecież chodzi. Nie można dopuścić, żeby grasował na ulicach pijany kierowca-morderca.

TTT — Towarzystwo Trzeźwości Transportowców, organizacja ta skupia na terenie Łodzi 5000



kierowców zatrudnionych w około 100 bazach transportowych i innych przedsiębiorstwach. Towarzystwo postawiło sobie za cel walkę z alkoholizmem poprzez wykłady i pogadanki w ośrodkach szkoleniowych, w bazach transportowych, poprzez konkursy — przykład — „Bezpieczny kierowca”, poprzez telewizję, film, wreszcie przez kontrole trzeźwości wyjeżdżających z baz kierowców.

Organizacja z pewnością ważna i potrzebna, przed którą stoją jeszcze ogromne możliwości. Ale już teraz można by zaproponować zwiększenie uprawnień kół TTT w poszczególnych bazach. Ot, chociażby możliwość wysunięcia lub skreślenia kandydatów do premlib czy awansu. To są sprawy, które się zawsze liczą.

Bardzo pijany mężczyzna kiwał się na krawężniku. Wreszcie upadł

na jezdnię. Wyminał go samochód osobowy, potem jeden autobus, drugi, wreszcie pijak, mazał się krwią z rozbitego nosa, wturlał się na chodnik. Nie miał siły wstać, ktoś go podniósł. Stanął i znów zaczął się kiwać...

Tym razem obyło się bez wypadku. Autobus ani go nie przejechał, ani też nie uderzył w nadjeżdżający z przeciwnej strony samochód. Jest więc następny sprawca wypadków drogowych. Też pijak, tyle, że pieszy. Znacznie częściej spotykany.

W ubiegłym roku piesi będący pod działaniem alkoholu spowodowali 159 wypadków, z których 4 zakończyły się śmiercią 168 pijanych pieszych zostało rannych. Warto dodać, że wśród 746 pieszych, którzy w 1968 roku spowodowali wypadki drogowe niemal co 4 osoba była nietrzeźwa.

Wniosek nie będzie. Pozostawiam je wszystkim, którzy kiwają się na brzegu krawężnika.

WIELKIE ŁOWCY

Dałszy ciąg ze str. 1

Wie tylko jedno, że dał się nabrać, że kompromitacja jest absolutna, że pociągnięto go na cucha. Wiele czasu minie, nim przestanie być obiektem drwin, nim zasłuzi na miano doświadczonego strzelca.

Zatrzymujemy się w Pruszkowie, gdzie wyznaczono zbiórki, następnie jedziemy do wsi Sycanów w powiecie łaskim. Stąd ruszą pierwsze naganiki (własnie: naganiki a nie nagoniki!) Myśliwi przyjeżdżają samochodami, motocyklami, rowerami, niektórzy przychodzą pieszo. Obok szkoły gromada dziewczyn i chłopców. Są to uczniowie szkół z Pruszkowa, Sieganowa, Dąbrowy Czeszkowa, Dobrej i Sycanowa. Naganiacze, którzy za całodzienną bieżącą po polach otrzymują po 30 złotych. Ustawiają się parami, po dwóch na jednego myśliwego.

Jest bardzo wcześnie. Wioska jeszcze śpi przykucnięta niby zając u brzegu lasu, tylko gdzieś tam niesmiało szczerkają obudzone kundlie. Mgła wisi niziutko, zasłania horyzont. Przymrozek. Gruda. Wyrażam głośno swoje wątpliwości, bowiem wydaje mi się, że przy takiej pogodzie polowanie nie ma sensu. — Musi się udać — mówi Edward Kosecki, jeden z najlepszych myśliwych w kole. — Przy takiej pogodzie kory będą jak barany, ino bić.

Przerzywa nam łowczy. Wszyscy do szeregu. Odbywa się tradycyjna odprawa. Łowczy wyznacza prowadzącego polowanie. Zostaje nim gajowy Ludwik Błonski. Potem myśliwi ciągną z kapelusza kartki ze stanowiskami, które będą obowiązywały na wszystkie pędzenia w tym dniu. Obserwuję z jaką ostrożnością i zabobonnym strachem wkładają rękę do kapelusza. A nuż trafi się na trzynastkę? Trzynastki boją się panicznie. Na myśliwego z tym numerem nie pójdzie najbardziej głupi szarak. Myśliwy z trzynastką jest narażony na drwinę, bowiem istnieje przekonanie, że ten numer przypada w udziale największym ofiermom. Przygotowania skończone. Jeszcze parę słów do stłoczonych naganianczy, sprawdzenie apteczki i można zaczynać.

Pierwsza wyrusza naganika. Prowadzi strażnik, który będzie czuwał nad prawidłowym płoszeniem zwierzyny. Sygnałem, że naganika się rozpoczęła, będzie dźwięk trąbki.

Idziemy piaszczystą leśną drogą głąną wśród potężnych sosn. Właściwie nie wiem co ze sobą robić. Nie mogę pozostać z tyłu, bo po drugiej trąbce strzela się tyl-

ko poza siebie, nie mogę też ukryć się pomiędzy dwoma myśliwymi, bo to też ryzyko. Patrząc więc błagalnie na mijających mnie mężczyzn w zielonych kurtkach: może ktoś weźmie?

— Mogę pana zabrać — mówi doświadczony myśliwy, wielokrotny król strzelców, Kazimierz Nurzyński. — Tylko musi pan zachować spokój. Stańmy, o tu, za tym drzewem i jak tylko będzie trąbka, wtedy ani mru mru. Pan pierwszy raz?

— Pierwszy.

— To widać. Z takim strachem na twarzy nie bierze się do rąk strzelby. A w wojsku pan był?

— Byłem — i by wyjaśnić wszystko do końca, dodaje szybko: — Sanitariuszem.

— To też widać. Ale z największego ciamajdę można zrobić myśliwego.

W tym momencie gdzieś daleko w przodzie rozległ się strzał i las napenił się przeraźliwym psim skowytem. Jeszcze strzał i wycie się urywa.

— Zabili jakiegoś psa-klusownika — mówi Nurzyński. — Każde polowanie jest swego rodzaju czystką lasu. Czy pan wie, ile taki bepański pies wyniszczy zwierzynę?

Chcę odpowiedzieć, że nie wiem, bo niby skąd, ale w tym momencie odzywa się gdzieś przed nami daleka trąbka. Jej jęczący dźwięk przez moment kołuje nad drzewami i urywa się nagle na wysokim C.

czas nie będę miał już okazji do żadnego z polowań na tej ziemi. Głosy naganiki są coraz bliżej. Przed nami gęsty zagajnik, na prawo niskie krzewy. Najlepsze stanowisko ma ten z lewej: gładka polana z rzadkimi sosenkami i nagle wybucha piekielna strzelanina. Bije ten z lewej: raz, dwa! Zając sunie przez drogę, przelatuje rów i ginie w lesie. W tym samym momencie z prawej wyskakuje kot-klusownik, do którego składa się nr 5. Pudłol! Poprawka i znów pudłol! Oglądam się na tego z lewej i widzę, że unosi strzelbę, celuje w pędzącego wprost na niego szaraka, ale zanim strzelił, rozlega się trąbka: stop, strzaly tylko do tyłu. Zając przelatuje pomiędzy nami a nim, lecz zanim dotknął drogi podrywa go gorący ołów. Nieprawdopodobne salto i migawczy białą brzucha zając roluje do rowu.

— Piękny strzał! — nie wytrzymał Nurzyński.

Zmieniamy stanowiska. Pozostają teraz z prowadzącym polowanie Ludwikiem Błonskim Stoimym na skraju wsi, tuż przy ogrodach. Myśliwi rozciągnęli się aż po horyzont. Mgła troszkę poszła w górę, widoczność jakby lepsza. Niedaleko widzę łowczego. Przedtem kiedy drzałem z zima i emocji łowczy poczęstował mnie wzmocnioną herbatą, po której poczułem przyjemne ciepło i odwagę. Obok nas przystaje kilku chłopów i wyrostków. Przyglądają się, czekają. Są to „sanitariusze”, którzy towarzyszą każdemu polowaniu. To właśnie oni wzywają postrzelonego szuki, dobijają ranną zwierzynę, penetrują zarośla wzywając odle zające.

— Złe stanęli — mówi jeden. — Naj-

KRZYSZTOF POGORZELEC

Najpierw pewne wyznanie: chodzi nam tutaj nie o negację w ogóle używania leków, co byłoby oczywistym nonsensem, lecz o prezentację pewnego zjawiska, szczególnie charakterystycznego dla lat 50—60 naszego kochanego wieku XX.

Są to chyba też w jakimś stopniu znaki czasu: rozwój przemysłu farmaceutycznego na całym świecie; i... lekomania.

Bo ludzie uwierzyli, że pigułka daje szczęście. Może dać szczęście. Czyżby?

OLBRZYM

Jest wiek XX. Za trzydzieści parę lat... Będzie rok 2000. Jest chemia. Przyniosła — cokolwiek byśmy powiedzieli — rewolucję także w dziedzinie tak bardzo związanej z życiem człowieka — w farmakologii.

Tak bowiem zrodził się olbrzym — A — chyba — zaczęło się wszystko od aspiryny, leku wyprodukowanego na bazie związków węgla, leku, który zrobił bajeczną wprost karierę i rzeczywiście pomagał. Zresztą, jego reklamę, obok innych specyfików znaleźć można w każdym z tzw. wielkich kolorowych tygodników w rodzaju „Sterna”, „Epoki” czy „Spiegla”. Reklama.

Wielka hossa. Wielka chemia. Potem przyszła, dzięki dr G. Domagkowi, wielka kariera sulfonamidów, przed którymi niemal każda bakteria musiała „podać tyły”. Ale nie trzeba było długo czekać, by i te środki odeszły w cień, wyparte przez nowe odkrycia. Nie jest naszym celem przypomnienie, czy tym bardziej, wyliczanie wszystkich odkryć z dziedziny farmaceutyki, a chcemy jedynie zaprezentować pewien proces wiążący się ściśle z narodzinami, wiekiem niemowlęcym, młodością i...

W tym miejscu właściwie należy postawić kropkę.

Więc tylko w charakterze informacji, mimo wszystko — dla przypomnienia: Wielka nadzieja ludzkości: ANTYBIOTYKI.

Zdołaliśmy uwierzyć, że będzie to lek wszelkiej szczęśliwości, panaceum na wszystkie choroby nękające współczesną ludzkość. Penicylina i streptomycyna. Dziś już wiemy, choć dysponujemy 1500 różnymi antybiotykami, że do szczęśliwości daleko. Bakterie przyzwyczyły się, ba — nawet polubiły antybiotyki.

Ciągnijmy więc dalej: Leki hormonalne — zastosowane w klinice Hayo Rochester dały rewelacyjne rezultaty. Cierpiąca od lat na schorzenia reumatyczne kobieta po podaniu preparatu zawierającego kortyzon — jeden z hormonów wydzielanych przez korę nadnerczy — po kilku dniach podniosła się ze szpitalnego łóżka. Preparat stał się głośny. Lekospis został uzupełniony o nową nazwę: hormony.

I tak właściwie można by ciągnąć w nieskończoność: SERPASIL.

Właśnie. Podobno w przypadku pewnych schorzeń psychiatrycznych wystarczy jeden zastrzyk, jedna dawka, by chory poczuł się wręcz „zdrowy”.

Tak się zaczęła kariera „pigulek szczęścia”; preparatów uspokajających bądź

też, gdy potrzeba pobudzających do energetycznego działania

TRANKWILIZATORY,
Pigułki szczęścia,
Szczęścia?

INTERES

Na razie pozostawmy na boku rolę, tę rzeczywiście, jaką rozwój nauki i przemysłu farmaceutycznego, tak — przemysłu, przynosił człowiekowi. Jakże śmiesznie z tym

słowem „przemysł” wygląda zachowana w Krakowie przy ulicy Basztowej, owa Apoteka Aromatica, gdzie zgromadzono spisy i metody wytwarzania leków w średniowieczu, dobie odrodzenia, baroku...

Bo rekin zwietrzył interes. Wiadomo już na przykład, że w Stanach Zjednoczonych „zjada” się różnych środków uspokajających około 45 tysięcy TON rocznie!

Rekin nie przepuścił takiej okazji. W roku 1940 w USA przemysł farmaceutyczny to było wszystkiego 40 przed-

siębiorstw. Ale nie o tę liczbę chodzi. Inna mówi coś znacznie więcej: zakłady te zatrudniały w owym okresie około 6000 osób.

Jak to wygląda dziś? Według oceny Stowarzyszenia Producentów Farmaceutycznych USA, pracuje obecnie 1300—1400 firm, z tym, że 60 procent wszystkich produkowanych leków to wyroby 13 wielkich koncernów, których „obrót” w ciągu roku i w każdym pojedynczym przypadku sięga kwoty 100 mln. dolarów rocznie. W roku 1965 — takimi danymi dysponujemy czerpiąc je ze specjalnego Raportu senatora Gaylorda Nelsona — łączny zbył rozmaitych leków na rynku amerykańskim wart był 3 miliardy dolarów, a zyski sięgają setek milionów, gdyż do obrotu amerykańskiego trzeba jeszcze dodać niebagatelnej wartości eksport.

Dla podbicia rynków innych krajów — z myślą o późniejszym monopolu i zyskach — stosuje się ceny dumpingowe. Przekład? Za preparat hormonalny — tabletki „Paracort” których 1000 sztuk w USA kosztuje około 170 dolarów, żąda w Anglii tylko 18 dolarów i 18 centów. Przejęciowo.

Ale nie o ekonomię nam tutaj chodzi, choć to jest punkt wyjścia.

MANIA

Raport tegoż samego senatora Gaylorda Nelsona mówi również i o drugiej stronie „farmaceutycznego” boomu. Cytujemy: „Oskarżam, na podstawie zgromadzonych faktów, oskarżam wielkie koncerny farmaceutyczne o stosowanie zakrojonej na niebywałą skalę kampanii reklamowej mającej na uwadze podtrzymanie, a nawet powiększenie owej swoistej i charakterystycznej „manii pigulek” której wyrazem w USA jest coroczny wzrost sprzedaży leków o bez mała 10 proc. Ten przyrost nie znajduje usprawiedliwienia ani w postępie farmaceutyki, ani też nie oznacza, że Amerykanie więcej chorują. Chyba, że na hipochondrie.

Lekomania. Nie jest to określenie nieznanne w naszym kraju, chociaż — co warto zauważyć — nie mamy z nim do czynienia na taką skalę, jak gdzie indziej.

Nie mamy też do czynienia ze zbrodnictwami wręcz praktykami niektórych wytwórni farmaceutycznych, że przypomnimy tylko jedną z afer — talidomidu, produktu jednej z zachodniemiejskich firm farmaceutycznych, „leku”, który wypuszczono na rynek bez właściwego przebadania skutków jego działania. Skutków ubocznych, ale jakże tragicznych w swojej wymowie. Jego stosowanie przez kobiety w ciąży spowodowało liczne przypadki mikromeli u potomstwa tych matek. Prościej mówiąc — rodzenie się dzieci — kalek. Proces wytoczony firmie nic tu nie naprawi. Pozostanie tragedią.

Lekarze ostrzegają: NIE JEDZCIE LEKARSTWI! Niestety.

Przeprowadzone wycinkowe badania wykazały, że w wybranej grupie osób nie należy do rzadkości lyknie dziennie 10—20 pigulek przez jedną osobę.

Na apetyt Na bezsenność. Na wzmocnienie Na niestrawność. Na senność. Na... Bóg wie co.

Wiara w magiczną moc pigułki. Dodajmy, traktowaną niejako „chałupniczo”, w ramach domowej medycyny, bez kontroli lekarza.

Co można do tego dodać? Słuszne byłoby zaostrzenie kontroli sprzedaży leków, tych „najpopularniejszych”, właśnie — „od bólu głowy”.

I jeszcze coś do PT Czytelników: NIE JEDZCIE PIGULEK, ONE SZCZĘŚCIA NIE DAJĄ!



wieńczy ich w chabłozach kole Zenka. A stąd pójdą wszystkie na hamunke i nie ustrzelą.

Przed nami czyste, puste pole, zorane pod przyszłe zasiewy. Jest to poważne utrudnienie dla myśliwych, gdyż zajęce przewalają się przez zamarznąłą grudy, równie szare jak ich futerko, kryją się w brudach, kluczą. Ale już nagonka rozpoczyna swój piekielny koncert. Wypłoszone szaraki suną wprost na tyralierę myśliwych. Dolatuje nas kanonada z prawej flanki, wkrótce biją ci w środku. Widzę jak łowczy podrywa się, składa, strzela. Zając wali się przez łeb ponad zamarznąłą grudą i nieruchomieje. Teraz bije także mój myśliwy ale jakoś niecelnie, bo szarak wykonując podskoki przedziera się przez ogrodzenie i wpada do ogrodu. Ale tam już czekają chłopcy. Rozdzierający krzyk rannego zwierzęcia. Ktoś krzyczy: dobił! Znow strzela Błoński i tym razem zając roluje. Biję także stojący na lewej flance i przez moment odnoszę wrażenie, że śrut głucho dudni obok nas po zamarznętej ziemi.

W następnym pędzeniu zostają z łowczym Bogumilem Oleszczakiem. Stajemy przy skurczonych olszynkach. Zimno. Milcząc wypijamy po kilka łyków herbaty. Nagle Bogdan podrywa strzelbę, mierzy gdzieś do tyłu, poza mną. Więc kucam by on miał wolne pole strzału. Strzał, drugi. Zając sady wprost do koła, skacze, kołuje. Kosecki go położy — mówi łowczy. Ale zając mija Koseckiego z daleka i rwie wprost na naganiaczy, przebiega się i znika w lesie. To pędzenie było dla nas

feralne. Więc zrezygnowaliśmy idziemy wzdłuż rowu melioracyjnego i stajemy na skraju lasu. Moim partnerem jest Edward Kosecki, jeden z wyśmienitych myśliwych, wyborowy strzelec. Przyglądam mu się z zaciekawieniem, bo Kosecki to kawał historii tego koła. Nieduży, ruchliwy, spod czapki wysuwają się siwe włosy, choć nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki.

Zatrzymujemy się na wprost przesieki. Cisza. Zrywają się bażanty.

— Nie wolno — mówi myśliwy. — Dziś nie wolno. Na koguty przyjdziemy za tydzień.

— Nie ma pan dziś szczęścia — odzywam się, by podtrzymać rozmowę.

— Ano nie. To miejsce też do niczego, tu nic nie wyjdzie. O, w zesłał niedzielę, to przyniosłem czternaście sztuk.

— Coś podobnego?! — wykrzykuje, gdyż wydaje mi się, że trafić czternaście zajęcy w ciągu jednego polowania, to bardzo wiele.

— To jest nic — mówi przypalając myśliwy. — Mój rekord wynosił równe trzydzieści kotów. Ale wówczas miałem wyjątkowe szczęście: ledwo nadązałem zmieniać ładunki.

Siedzimy tak z pół godziny, aż w końcu dają sygnał do opuszczenia stanowisk. Zajął, że nie miałem okazji zobaczyć jak strzela Kosecki. Myśliwi twierdzą, że Kosecki nie pudłuje. Kosecki po prostu nie ma zwyczaju strzelać dwa razy do jednego celu.

I znow nowe pędzenie. Obszar jest mały, zaledwie paręset metrów. Teraz znalazłem się na flance z Michałem Łaguniakiem, z tym, co tak pięknie spisał się w pierwszym pędzeniu, strzelając obok mnie przeskakującego drogie szaraka z prawej strony las, z lewej wieś.

— Jak pan ocenia polowanie? — pytam.

— Słabe. Przy takiej pogodzie zajęce siedzą w lesie. Najlepiej gdy jest wiatr. Wówczas idą w pole, bo boją się szmerów, straszy ich szelest liści, trzask gałęzi...

Nie kończy, bo pojawia się zając. Sunie wprost na nas, następnie gwałtownie skręca, kluczy, w końcu wpada wprost na drogę, na której zatrzymała się grupa „sanitariusz”. Łaguniak przepuszcza go i strzela poza siebie. Zając wali się, zrywa, koziołkuje, ucieka. Myśliwy dopada, dobiła. Wszystko to odbywa się za górką, więc nie bardzo widzę co się tam dzieje. Myśliwy jakoś szybko zmienia naboje i strzela dwukrotnie do czegoś, czego stąd nie widzę. Trąbka. Koniec. Wraca Łaguniak i wówczas okazuje się, że ostatnie dwa strzały były przeznaczone do bezpieczeństwa psa, który wyskoczył z zarośli.

Polowanie dobiega końca. Zmierzch miesza się z gęstniejącą mgłą. Trąbka. Myśliwi schodzą ze stanowisk, pała, dowiejkują. Na chłopskim wozie powiązane za nogi kołyszą się 32 szaraki. Cała zdobycz idzie do wspólnej puli, skąd każdy otrzymuje po jednym, niezależnie od tego, czy sam upolował czy nie. Część zajęcy zo-

stanie dostarczona do spółdzielni „Las”. Dziś królem strzelców został Stanisław Kostrzewa, który przyniósł pięć sztuk. Według panującego zwyczaju, skróli strzelców zaprasza pozostałych na skromny poczęstunek. To przylwile, a nie obowiązek tłumaczyć mi myśliwi.

— Pomyśleć — mówi właściciel „moskwiczy” — że Staszek nie tak dawno chodził do ZOO i przyglądał się ptakom, by móc później odróżnić jastrzębia od orla.

— Nie tylko, nie tylko. Właściwie sarnę to też zobaczył dopiero w ZOO. Na polowaniach jakoś nie umiał jej dostrzec. Krzyżują się dowcipy, przycinki, drobne złośliwości. Jest to naturalny odruch po wielogodzinnym milczeniu.

Dla laika myśliwstwo to przede wszystkim zabijanie. Nie bardziej mylnego. Istnienie zwierzyny łownej w naszych warunkach, zależy całkowicie od kół łowieckich. Koło „Rolnik”, jedno z pierwszych w powiecie łaskim pod względem ilości zwierzyny łownej istnieje od 1945 roku. Początkowo opiekowało się terenami na linii Łask — Orchów. Był to zaniedbany, jałowy w zwierzynie i ptactwie obszar. Jednak dzięki uporowi, dobrej organizacji, świetnym fachowcom, po kilku latach można już było rozpocząć odstzał. Ale wówczas okazało się, że PRN w Łasku znalazło dla koła nowy teren łowiecki, jeszcze bardziej jałowy niż poprzedni. Znow trzeba było zaczynać wszystko od początku. Obszar, jakim dysponuje koło „Rolnik”, wynosi ponad 8000 ha. Po dziesięciu latach wyjątkowej pracy wzrost zwierzyny jest taki wysoki, że urządziła się polowania bez obawy naruszenia jego równowagi. Jednak bogactwo koła zaczęło ostatnio znow wpływać na rozbudzenie apetytów u niektórych czynników administracyjnych, którzy nieraz w sposób wręcz podstępny, usiłują pozabawić koło „Rolnik” z kole i tych łowisk. Szczególną gorliwość w tym kierunku, jak mi mówiono, przejawia łowczy powiatowy, który winien raczej dbać o rozwój kół łowieckich, a nie o ich likwidację.

EUGENIUSZ IWANICKI

HENRYK HARTENBERG

Jak pamięć sięga — w oknie wystawowym stały trumny; otwarte lub zamknięte, bogato wykończone, z aniołami, ze srebrzystymi frędzelkami i wieńcami z metalowych lilii. Wnętrza trumien ozdobione kosztownym atlasem, z haftowanymi poduszeczkami, do których przyszyte były guziczki z masy perłowej. Pięknie było w tym oknie i bardzo się nam wszystkim podobalo.

Małe trumienki przypominały pudełka dla lalek, jakie otrzymują na imieniny lub urodziny dzieci bogatych rodziców.

Nie było dnia, żeby nie wynoszono ze sklepu kilku ciemnych skrzyń. Trumniarzowi dobrze się powodziło.

Młodzi ludzie spacerując ulicą zawsze przystawali przed wystawą i w zadumie rozmawiali o wieńcach i bogactwie tych trumien. Chwalili biegłość majstra i zdolności czeladników, a potem z uśmiechem patrzyli sobie w oczy i szli dalej. Nawet całkiem smarkact, trzymając się za ręce nie mogli przejść mimo, ażeby nie zwolnić kroku i nie zerknąć w głąb.

Wieczorem wystawa sklepu była oświetlona. Nadawało to ciemniejszej i wąskiej uliczce blasku i świeżości. Wystawa wyglądała wtedy jak scena teatru na tle ciemnej widowni.

Nie można by sobie było nawet wyobrazić widoku naszej ulicy bez tej wystawy falbankowych trumien. Sklep i ulica tworzyły nierozdzielalną całość.

Pokolenia przychodziły i odchodziły, ulica zaludniała się, a zakład pozostawał nadal najbardziej szacowaną instytucją w tej okolicy, o innych sklepach nawet nie warto wspomnieć.

W letnie wieczory, kiedy księżyc w wędrówce po niebie zatrzymywał się pośrodku wąskiej uliczki oświecając nie otynkowane mury domów, dziurawe płoty i rozsypane się stajnie, cała rodzina, zamieszkała na niższym piętrze, wychodziła na drewniany balkon aby tam spożyć kolację. Dochodził mnie stamtąd zapach kawy zbożowej, ziemniaczanych placków, stuk łydek;

Rozmawiano dużo i gwarnie. Najczęściej, o ostatnich wiadomościach z ekspresjaka — a więc o krwawej zbrodni popełnionej przez zamaskowanych bandytów na staruszcze, co trzymała w jasce uciulane oszczędności. O bezrobotnym buchalterze, który nie mogąc znaleźć pracy rzucił się z czwartego piętra na bruk, czy o strasznej katastrofie kolejowej w Chicago. Wraz z dorosłymi i ja również przeżywałem chwile grozy.

Bywało, że ojciec tej rodziny, popadłszy naraz w melancholijny nastrój, długo w noc nucił żołdackie piosenki; najczęściej o pewnym żołnierzu, który poszedł na wojnę zostawiając w domu ukochaną żonę, a kiedy po paru latach wrócił, zastał ją w objęciach osoby nazwanej w tej piosence „gachem”. Żona błagając o litość rzuciła się mężowi do nóg, żołnierz jednak przebija „sztyletem” ją i jej „gacha”.

Śpiewał także jakaś balladę o bardzo szlachetnym złodzieju spod Sieradza, który odbierał bogaczom bogactwa i rozdawał je biednym.

Potem wszystko zamierało, głosy milkły i zalegała długa nocna cisza.

Przybywało dzieci — coraz więcej było na ulicy bałasu, nawoływań i placzu. Dzieci do późnego wieczora bawiły się w berka, w kukso, w chowanego lub w kłipe. Coraz częściej pękały szyby w oknach niższych pięter, coraz częściej słychać było to płacz biorących lanie, to klótnie starszych, twierdzących, że to nie ich dzieci wybiły, tylko te „smoluchy z przeciwka”. Dzieci dorastały, wrastały w ulicę, w jej światła i cienie, poranki i wieczory.

Ileż to razy słyszałem, dziecinne głosy z balkonu naprzeciw wystawy trumniarza: „mamo, mamo — kup mi to białe, śliczne pudełko”...

Z otwartych okien płynęła melodia starego zegara, który wydzwaniał czas...

A jednak nie wszystkie dni miały na naszej ulicy bez echa. Raz zdarzył się wypadek, który wytrącił ludzi z codzienności.

Sposzony koń starego furmana Wincetego Chudego, który woził cegły do późnych godzin — wpadł przed zakładem trumien na przechodnia z jakiejś innej, nie naszej, ulicy Dzieci krzyżąc i hałasując cisnęły się do człowieka leżącego na jezdni w kałuży krwi.

Dorośli stali w milczeniu, czekając na kogoś, kto pierwszy udzieli pomocy.

Odważniejsi i silni używali muskularnych ramion ażeby zbliżyć się do leżącego,

Widowisko

go, a z sąsiednich bram wychodzili nowi ludzie żądni sensacji. Tymczasem, jacyś nieznani ludzie, na pewno woźnice wyprzęgli z platformy konia. Nikt na nich nie zwracał uwagi. Rozprawiano o prawdzie i sprawiedliwości. Ferowano wyroki. Starsze kobiety przypominały grzechy popełnione przez dawno umarłych ludzi i o tym, co mówili prorocy kilka tysięcy lat temu.

Wieczorem wszystko przycichło. Ulica powiał wiatr, porywając kurz i śmiecie. Nadchodził czas snu. Balkony opustoszały,

tylko pode mną i na parterze, jeszcze szepetano długo o wypadku. Dochodziły stłumione głosy Ojcu, który chciał zaśpiewać jakąś żalną pieśń, przerwano psykaniem.

Tej nocy na wąskiej i pustej uliczce było zupełnie ciemno. Pierwszy raz w zakładzie trumien nie paliło się światło. Tylko w bramie snuła się postać Chudego, który wtopiony w mrok obserwował z ukrycia ciemną i złowrogą ulicę. Pewnie oczekiwał powrotu konia uprowadzonego przez tamtych nieznanymi ludzi.

O świcie znaleziono furmana martwego. Leżał z otwartymi oczami przed sklepem. Głowę miał opartą o wypolerowany sto-

pień, a z wielkiej zaciśniętej pięści wyrastał bat — długi, mocny z cienkiego rzemienia — znany wszystkim dzieciom naszej ulicy.

I odtąd zaczęło się coś psuć na ulicy. Nie otwierano już tak szeroko okien, balkony były puste. Omijano sklep z trumienami. Ulica przycichła, zmałała i wzrosła w ziemię.

Zywi coraz częściej zamawiali trumny w innych dzielnicach miasta, a znana nam wystawa, która przedtem przez wszystkie

wieczory i noce kładła na ulicy czworokąt światła — pociemniała.

Pewnego dnia usunięto z okien sklepu trumny, drzwi obłożono antabami i zawieszono kartkę zawiadamiającą klientelę, że sklep został chwilowo zamknięty z powodu choroby właściciela.

Mieszkańcy jednak rozumieli, że przyczyną zamknięcia sklepu są zupełnie inne.

Mijał czas. Ulica dalej się zaludniała. Młodzi przechodząc mimo zamkniętego sklepu szepotali sobie cicho słowa...

Potem do zakładu wprowadzili się nowi mieszkańcy. Wieczorem rozbiły światło. W oknach wystawowych ustawiono manekiny o woskowych twarzach, ubrane w czarne garnitury i kremowe suknie.

Dawny spokój już nie wrócił. Na pozór wszystko wyglądało po dawnemu; na ulicy szumiało od świtu do późnego wieczoru, dzieci baraszkowały i dostawały w skórę, młodzi kochali się, starzy wychodzili przed bramy kamienic, w których się urodzili, opowiadali o swoim życiu, w którym wszystko było zawsze takie samo.

A jednak ulica była już inna. Czegoś jej brakowało. Tej pustki nie mogły wypełnić woskowe manekiny ubrane w czarne garnitury i białe suknie. Przeciwnie, straszły nas swoją trupią sztywnością, czernią swych garniturów, bielą swych sukien, celowały ku nam woskowymi palcami, jakby chciały powiedzieć: „I wy tak będziecie kiedyś wyglądać!”

Nie pasowały do naszej ulicy, nie powiązały się z jej obrazem; były obce i „nie nasze”.

Któregoś dnia usłyszałem z balkonu na niższym piętrze głosik dziecka: „Mamo, mamo, — jak brzydko jest teraz bez tych pięknych skrzynek! Czy już nigdy ich tutaj nie zobaczymy? Tak mi teraz smutno”...

BERNARD SZTAJNERT

Modlitwa

Małe słowo przyjdź do mnie wielkie słowo odejść
Zginą słowa ogromne pozostaną wiersze
Zasnę w nocy i przyśnię dla bezsennych odpowiedź
Małe słowo przyjdź do mnie słowo, słowo najmniejsze.

Wycieczka

1

Jest półmrok sosen Księżyc ponad nocą...
Kamienią szosą z towarzyszem drogi
(Łasy na księżyc ten lekarz ze Lwowa)
Idziemy cienie garbiąc wydłużone...
Pola kamienne — kamień na kamieniu —
I nasze cienie pokrywają pola...
Umiem kamienie po imieniu wołać —
Wiem że nie przyjdą — słuchają w milczeniu
I umiem sosnom... (wiem o tym doktorze
Ze pansychizmem rozmówcy zdziwiony
Pan chce powiedzieć że myśl — lunkcją kory —
Nie tej sosnowej... lecz pan w księżyc wierzy)
Idziemy nocą i zapach sosnowy
Jest prawdą chwilą pomocnej milczeniu...
Kamienią szosą — kamień na kamieniu...

2

W Polsce pod sosną przed małym kościołem
(Kamienią kościół z trzynastego wieku)
Stałem o świcie z lwowiakiem-doktorem...
Doktor dzień wital pijac zsiadłe mieko
Pogodny omentarz drzemał za kościołem
Na grobach ciepła parowała ziemia
W mgłę dzwonił kościół — piosenka z kamienia...
Huczał wschód słońca zagajnik sosnowy
Pęczniał żywica dąb sześciu latem
Wzbierało słońce nad stoncem skowronek...
Doktor spytany czy wierzy w anioły
Oparł: nie wierzę lecz o świcie latem
Czuję ich turkot Skrzydłami nad światem
Zamknęły przestrzeń — ale to gadanie...
Zejdźmy do miasta trzeba zjeść śniadanie...

3

Dla mnie płat szynki, płat szynki różowy
Herbaty słodkiej wilgoć herbaciana
Cierpienie na dziąsłach... Jest i sztuka mięsa
Dziurawy obrus — wszyskiego zbyt dużo —
Psy przed werandą i one nam służą
Turkotem wozów wyrasta poranek...
Słyszę kamienie sosny pomieszane
Z śpiewem skowronka z piosenką kościoła
Pogodny omentarz Słońce słyzy ziemię
Kamień na kamieniu — spiętrzone kamienie
I doktor-lwowiak niebo z aniołami
Przebież zgnieciono białymi skrzydłami...
Włóż okulary przetrzy szkła doktorze!
Kamienią ranek nie na moją głowę —
Dla mnie płat szynki, płat szynki różowej...

Rys. W. Kondek

Jest i reportaż...

Do bardzo już wyswiechtanych chwytów recenzenckich należy powoływanie się na molierowskiego pana Jourdain, który zupełnie o tym nie wiedział, że mówi prozą. Chwył nie tylko wyswiechtany, ale i wielce nieprecyzyjny jako pułapka zastawiona na autora. Bo i cóż może oznaczać słowo — proza? Czy wszystko to, co nie jest poezją, a więc np. potoczny język naszej mowy lub tekst artykułu, czy też wyłącznie literacką mowę niewiązaną...

Powołanie się na pana Jourdain będzie jednak pomocne, ponieważ ukazał się właśnie tomik utworów, których autor zdaje się nie zawsze o tym wiedzieć, kiedy tworzy prozę literacką, a kiedy uprawia coś, co w każdym razie nie jest literaturą.

Tomik Tadeusza Daszkiewicza *) zawiera dwadzieścia drobnych utworów, które tematycznie odnoszą się do okresu pomiędzy początkiem drugiej wojny światowej a latami nam współczesnymi. Miejszem akcji są różne strony naszego kraju, a niektóre utwory związane są z Łodzią.

Tematyka wojenno-okupacyjna, ciągle jeszcze tak żywa w naszej literaturze, stanowi dla tych co przeżyli próbę rozrachunku z problemami owego czasu, które nie zostały jeszcze rozstrzygnięte. Warto jednak wiedzieć, że autorowi „Kryptonim „Radość” są tamte lata znane tylko — ze względu na jego wiek — z cudzego przekazu. Rzecz zaskakująca więc, że tak swobodnie posługuje się realiami i potrafi odtworzyć klimat lat wojny i okupacji, ale z opowiedzianych historii tylko jedna wynagradza mu tę wyprawę w odległą od niego przeszłość i to tak sownie, że wystarczyłoby na usprawiedliwienie kilku pozostałych utworów z tego kręgu tematycznego, a mianowicie — opowiadanie „Upał”.

Jest to dyskretnie i powściągliwie opowiedziana i dzięki temu tym silniej wstrząsająca historia polskiej kobiety, zmuszonej pod nieobecność męża do szukania dla siebie i dla dzieci ocalenia przed śmiercią w ramionach Ukraińca. Przedstawiając dalsze konsekwencje tej sytuacji dla kilkorga sprzęgniętych z sobą osób autor oparł się pokusie rozwiązywania konfliktu przez efektywną łatwinę, nie uległ też naciskom nacjonalistycznych emocji. Chwaląc umiar i humanistyczny sens tego opowiadania trudno jednocześnie nie wyrazić żalu, że pomysł nie został wygrany do końca, a starczyłoby wątków i motywów na powieść.

Oprócz opowiadania „Wrzesień”, przedstawiającego przeżycia dziecka, odtworzone we wspomnieniach dorosłego mężczyzny i „Butów”, należących również do tego samego co „Upał” tematycznego kręgu, oprócz opowiadania „Głowa Staszka partyzanta”, które ciekawie demonstruje duchowe wnętrza członków NSZ-towskiej bandy, oprócz „Pokutnego” i „Chorążego z Rajgródka”, których niebanalna akcja toczy się w pierwszych miesiącach tworzenia ludowej władzy i może jeszcze oprócz dwóch — trzech utworów nie do szukamy się już w tomiku więcej... opowiadań. Najskrupulatniejsza analiza nie wykryje więcej niż powiemy, ośmiu utworów — o niejednakowej zresztą wartości — które można by zaliczyć do literatury pięknej.

Nie ulega wątpliwości, że przynajmniej połowa zawartych w tomiku utworów należy do najszerzej pojętej publicystyki, a kilka nosi wyraźne cechy reportażu. Najbardziej może znamienny będzie utwór zatytułowany — cóż za paradoks! — „Reportażu nie będzie”. A jednak jest to najczystszy reportaż, z bardzo obszerną i rzeczową wypowiedzią naukowca o sprawach wojenno-atomowych. Tak jest też i z „Rączkami do granatów” i z tytułowym „Kryptonimem” i z „Pogrzebem” czy „Honor mu nie pozwała”. Można nawet znaleźć przynajmniej jeden reportaż chybiący, bo takie np. „Intencje” trudno chyba określić inaczej, niż jako artykuł publicystyczno-informacyjny o sytuacji w NRF, tyle że rozpisany na głosy dwóch księży.

Aby jednak oddać publikacjom nieliterackim sprawiedliwość, trzeba podkreślić z uznaniem, że są wśród nich przykłady dobrej dziennikarskiej roboty.

Czytając tomik „Kryptonim „Radość” odnosi się wrażenie, że autorowi trudno jest ocenić przydatność zaobserwowanych czy zasłyszanych zdarzeń i faktów jako pomysłu literackiego, a ponadto, że nie zdaje sobie sprawy z podstawowych różnic pomiędzy twórczością prozatorską a działalnością dziennikarsko-publicystyczną. Nie ma przecież literatury bez selekcji i zagęszczenia elementów, z których buduje się fikcję, a przy tym fikcja powieściowa bywa prawdziwsza — w sensie prawdy o życiu — od najautentyczniejszych wydarzeń, przelanych na papier w stanie nieprzetworzonym, nie przekomponowanym.

Nie każda bowiem mowa niewiązana jest prozą w znaczeniu literackim.

* Tadeusz Daszkiewicz, „Kryptonim „Radość”. Wydawnictwo Łódzkie 1968, str. 140.



WANDA NOWAKOWSKA

Henryk Siemiradzki (1843—1902) należał do najslawniejszych w ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia pionierów starożytnego świata. Jego sjęsty i sielanki, kąpiele i idylle ukazywały wyrafinowane uroki beztrudnego bytowania wśród niezmiennie słonecznego, promiennego pejzażu, zawsze przychylnego światła natury i wśród ośnie wającego przepychu przedmiotów stworzonych przez człowieka ku jego radości i chwale.

Ten przepych fascynuje Siemiradzkiego tak bardzo, że nawet w najszlachetniejszych monumentalnych jego kompozycjach poświęconych męczeństwu pierwszych chrześcijan („Świeczniki chrześcijaństwa” znane także jako „Pochodnie Nerona” czy „Dirce chrześcijańska”) uderza przede wszystkim wypieczona uroda świata przedmiotów. Tragedia człowieka, dramat walki i wzniosłość cierpienia w obliczu śmierci — umyka przed oczu widza, ginie i roztopia się w blasku marmurów i tkanin.

Znakomici krytycy końca XIX wieku, Witkiewicz i Stasow, zarzucali zgodnie Siemiradzkiemu nadmiar wirtuozerii technicznej przy jednoczesnym braku „prawdziwego uczucia”. Pokolenia następcy poszły tym śladem. Dwudziestolecie zapomniał o Siemiradzkiemu.

Muzeum Sztuki w Łodzi podjęło dziś, w 125 rocznicę

urodzin artysty, inicjatywę odkurzenia z pyłu niepamięci jego twórczego dzieła.

Organizator wystawy, kustosz Działu Sztuki Polskiej, mgr Halina Zawilska wyjaśnia, iż myślą przewodnią wystawy jest ukazanie całości kształtu twórczości Siemiradzkiego, zarówno dzieł znanych i uznanych, jak i dotychczas nie eksponowanych w salach sztuki i galeriach mu-

ki chłód i bezosobowość warsztatu klasyka, szkic rysunkowy staje się jędrny, obróbnymi tkanką życia — przykładem studium nóg do słynnej „Fryne”.

Inna sala prezentuje nam szkice olejne, między innymi, nigdzie dotychczas nie eksponowany duży szkic do „Pochodni Nerona” (własność prywatna) oraz — do „Dirce” — ciekawy przykład zmian

go ku radości i ulesze widza — wystudiowane w ruciach, o słodkich i wygładzonych, nie tkniętych cierpieniem i wzruszeniem ryśach, nieznośne w swojej sztuczności, jak lalki wystawione na sprzedaż przez handlarza wykrzykującego: „Patrzcie, jaki ruch, jaki gest, co za ciało! Kto da więcej?”

Z tej wystawy piękności („Rzymska sielanka — przed kąpielą”) oko przenosi się z radosnym zdumieniem na pejzaż — „Widok rzeki Swisłocz”. Oto mamy najprawdziwszy pejzaż polski, nastrojowy i sercem odczuty, cichy i prosty, prześlicznie namalowany miękkimi dotknięciami pędzla, malarski, o rozpylonych konturach. Nawet znajdujące się w centrum kompozycji drzewo (motył powtarzający się i w innych pejzażach artysty) zatraciło linearną wyrazistość.

Podobnie „Pejzaż letni”, malowany na blasze, grą światła i barw, technika drobnych plam barwnych, przywodzi na myśl najlepsze osiągnięcia naszych pejzażyistów jak Wyczółkowski czy Stanisławski.

Jaki więc jest naprawdę ten Siemiradzki?

Sądze, że dobrze się stało, iż Łódzkie Muzeum Sztuki, podejmując znakomite akcje prezentowania naszej publiczności najnowszych osiągnięć sztuki współczesnej, podjęło inicjatywę „ocalenia od zapomnienia” dorobku Henryka Siemiradzkiego.

Powrót do Siemiradzkiego

zealnych. Dzieła te są własnością muzeów polskich i osób prywatnych.

Ekspozycja pierwszej sali ukazuje różnorodność tematyki uprawianej przez artystę: sceny religijne, sielanki, malarstwo dekoracyjne, portret. A przede wszystkim — szkice. Właśnie — szkice. Pokazanie warsztatu artysty stanowi najmocniejszy akcent tej interesująco pomyślanej wystawy.

Jedną z sal gromadzi szkice rysunkowe wskazujące jednoznacznie na klasycyzm — akademicki rodowód malarstwa Siemiradzkiego. Są to rysunki z modelu, z odlewów gipsowych, posągów (głowa Nerona). Znajdujemy tu także interesujące studia olejne. Koryguje w nich Siemiradz-

ki kompozycyjnych w zestawieniu z obrazem. Ukazuje się tu nam inny Siemiradzki, swobodny w formie, bardziej malarski.

W sali „Sielanki” zanurzamy się w słoneczność pejzażu Kampanii rzymskiej. Siemiradzki — pejzażyista odkrywa nam urodę białych murów morza i nieba, szeroki oddech atmosfery, przejrzystość powietrza. Migotliwe plamy światła tańczą w zieleni drzew, na białych marmurowych tarasach. Rozsiadają się na nich pyszni patrycjusze, leniwi i nasycony, spoglądający lekko na pochylone korzenie, białe, idealnie gładkie karki i ramiona młodych i pięknych kobiet. One to zapieniają płótna Siemiradzkie-



WYKOLEJONY

„Wykolejony” Artura Gruszeckiego zawiera cały dorobek nowelistyczny tego niedużo niezmiernie popularnego autora. Gruszecki znany był przede wszystkim jako powieściopisarz, zresztą sam uważał się za takiego, a opowiadania, które powstały w różnych latach traktował jako zajęcia marginesowe. Zbiorek zawiera jedenaście pozycji: jedenaście nierównych stylistycznie i artystycznie opowiadań z przełomu wieku XIX i XX. Ale jest jedna bezsporna zaleta prozy Gruszeckiego: doskonały rysunek obyczajów, ludzi, ich sposobu bycia, namietności. Wszystko to bardzo realne, choć momentami denerwują

przydługie akcje. Ale nie możemy zapominać, że te opowiadania spełniały niegdyś rolę satyry na starszszlachectwo obyczajowe, piętnowały drobna, zagonową szlachtę.

Do najlepszych, moim zdaniem, należy tytułowe opowiadanie „Wykolejony”, w którym z tragiczną prostotą zostało opisane życie pisarza, zawód znajdujący się wówczas w pogardzie i ogólnym potępieniu. Wiedziwie trudno było nazywać zawodem to wyśmiewane przez szanujących się obywateli zajęcie. Przyjmowano go na prawach wszelkiego rodzaju wędrownych artystów, kuglarzy, którzy mogą zabawić i rozzerwać zasiedziałyh hreczkosiejów. Gruszecki, sam jako autor, musiał mocno do-

świadczyć upokarzającego traktowania, stąd gorzkie i smutne w jego słowach, gdy mówi o tych sprawach.

Równie dobre są opowiadania „Przy ognisku”, „Zbieg” czy elegijne i iluzoryczne „Lilcie”.

Arter Gruszecki: Wykolejony. Wyd. Literackie. 1968 r. Stron 300. Cena 17 zł.

CZTERY POWIEŚCI LAGERKVISTA

Par Lagerkvist jest jednym z najwybitniejszych pisarzy skandynawskich. Choć to „za miedzą”, choć Lagerkvist jest laureatem nagrody Nobla nie jest zbyt szeroko znany polskiemu czy telnikowi. Właśnie przed paroma miesiącami PIW wydał czwarty już przekład tego pisarza. Tom zawiera cztery krótkie powieści pochodzące z powojennego okresu twórczości Lagerkvista.

Stanowią one jednolitą całość — Sybilla, Ahaswer, Ta biasz i Giovanni — kolejni bohaterowie tych czterech powieści kroczą tą samą ścieżką duchowych rozterek, na

którą wstąpił kiedyś mały Anders — bohater tłumaczonego na język polski „Gościa w rzeczywistości”. Bohaterowie Lagerkvista wędrują przez życie w poszukiwaniu zagadek ludzkich losów, stara ją się określić stosunek człowieka do odcierającego światła, do bliźnich i do Boga. Wędrują „ścigani przez Boga”, ale jeśli nawet niektórzy z nich po wielu peregrynacjach dotrą do „Ziemi Świętej” nie znajdą tam rozwiązania problemów nurtujących ludzkość.

„Bóg z którym zmagają się pisarze, nie jest starcem z białą brodą, królującym ludzkości z wysokości” — pisze o pi sarstwie Lagerkvista Zyg munt Lanowski. Bo tak to jest w tych książkach o niezwykłym napięciu emocjonalnym — autor solidaryzuje się tu z człowiekiem przede wszystkim, człowiekiem zmagającym się z okrucieństwem i beznadziejnością. Bowiem w Lagerkvistowym szukaniu Boga jest ciągłe, nieustanne szukanie człowieka.

J. W.

Par Lagerkvist — „Sybilla”, „Pielgrzym”. PIW 1968 stron 309, cena zł 25.—



Paryskie nastroje

Nie byłem nigdy w Paryżu, ale tak właśnie wyobrażam sobie te uliczki na Montmartrze z bazyliką na wzgórzu za białymi fasadami domów, tak właśnie wyobrażam sobie sennie płynące barki na Sekwanie... Nastroj i atmosferę jakimi nasycił swe obrazy Jozef Wasiołek przylegają zapewne do dość powszechnego wyobrażenia o Paryżu. Artysta wie o tym dobrze i konwencją jaką obrał w swoim cyklu paryskich impresji jest konwencją świadomą.

I jest ona kolejnym konsekwentnym etapem na drodze twórczej tego malarza-realisty. Józefa Wasiołka nie zniechęciła ścieżka formalnych gier — zawierzył swojej wrażliwości plastycznej, swojemu wyczuciu barwy, umiejscowił budowanie nastroju — i wygrał. Paryski cykl prezentowany na wystawie w Klubie Dziennikarza jest tego dowodem. Za bezbłędną techniką, za mocnym, intensywnym kolorowym obrazem jest jeszcze coś więcej — właśnie ta świeżość doznań, urzeczony temat, nastroj... To wszystko co oddziela efektywne w gruncie rzeczy pejzaże Wasiołka od gładkiej, kolorowej i nie-

co zróżnicowanej twórczości Włoduślaw Orłowski.

Poza warszawskim malarstwem, którym Wasiołek operuje znakomicie jest jeszcze ten głęboki oddech zaciętego parku, chłodny uliczek, poezja i historia zakiełta w starych murach... Sam artysta mówi, że realizm pojmuję jako przekaz artystyczny nie bryli i koloru, ale nastroju i charakteru pejzażu. I nie jest to deklaracja na dorozny użytek — ten artystyczny postulat, niełatwy przecież — realizuje w swojej dziesięcioletniej już biografii dojrzalego malarza. A impresje paryskie wydają się być najpełniejszym spełnieniem jego artystycznego credo.

Ze swej paryskiej podróży przyniósł łódzki artysta najcenniejszy souvenir jaki może sobie malarz wymarzyć. Przyniósł barwę, kolor, bogatą paletę intensywnych tonów, którą tak trudno znaleźć w naszym pięknym lecz szarym mieście.

J. W.

Grafika Jerzego Cicheckiego

I znów uzierniam interesującą wystawę otwartą w ramach działalności Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Grafiki i rysunki Jerzego Cicheckiego — w sali Tea-

tru Nowego przy ul. Włocławskiej 15.

Jerzy Cichecki ukończył studia w PWSSP w 1938 r. Jego mocne związanie ze środowiskiem łódzkim, a przede wszystkim z pejzażem naszego miasta i regionem, awidacjonalnie się w wielu wystawionych kompozycjach. Z prac konkursowych a Łodzi nagrodzone „Mozolka rodzaka” otwiera wystawę. Dalej sugestywno, mocno w konstrukcji i wyraziste w kresecie i plamie — rysunki tużem, pion pracy artysty w pienerze.

Najciekawsza jest jednak grafika Cicheckiego — prace z dorocznego konkursu graficznego (1966—67 r.).

Delikatne w technice, lecz śmiało w kresecie i kolorze: „Deda i Ikar”, „Na scenie” i „Balet” (jedna z najbardziej urzeczujących grafik), „Kompozycja swarta, „nieprzegadane”, a równocześnie harmonijnie łączące ekspresję postaci z tem i jak w przypadku dwu ostatnich z dekoracją oraz rekwiizytami.

Artysta operuje zróżnicowaną kreską („Wędrowcy”), równocześnie umie się ograniczyć do jednolitej i koronkowej roboty („Wspomnienia z Kazimierza”).

Umiejętność łączenia ekspresji z precyzją i liryzmem; ornamentyki z tematem to walory, dzięki którym Jerzy Cichecki mógł reprezentować skromną łódź, ale bogatą treściowo i formalnie wystawę.

R. L.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Teatr zmienia się na naszych oczach. Coraz niechętniej mieści się w skostniałych formach ukształtowanych przez sztukę mieszczańską. Odswieżenie środków wyrazu szuka między innymi w nawrocie do źródeł, z których się wywodzi: do sztuki ludowej, do zabaw jaromarcznych i festynów, do gedyby i piosenki — najstarszego chyba rodzaju produktu artystycznej.

Błoby dużym uproszczeniem patrzeć na montaż Lecha Budreckiego i Ireneusza Kanickiego „Dziś do ciebie przyjdzie nie moge...”, wystawiony w Teatrze Nowym, li tylko w kategoriach wspomnieniowo-emocjonalnych. Pamięć ludzka, sentyment, wzruszenie, będące reakcją na dobrze znane dźwięki par tyzanckiej piosenki, są tu czynnikiem dopomagającym w stworzeniu widowiska nowego typu, sięgającego do głębokich pokładów ludowej tradycji.

Do tradycji bardów i waj delotów, komentujących w swoich pieśniach ważne wydarzenia w życiu ludu, od nieś należy duża część materiału wokalnego, który autorzy pomieszcili w swoim widowisku.

Weźmy dla przykładu „Piosnę o zabiciu”, którą na premierze z tralnym wyczuciem specyficznych ludowych zaspiewów wykonała Urszula Modrzyńska. Jest to nie innego jak tylko uformowana przez chłopskiego poetę-prymitywistę piękna relacja z bestialskiel pacyfikacji dokonanej przez hitlerowców w kieleckiej wsi Skłoby w odwecie za pomoc udzielaną przez mieszkanców pierwszemu oddziałowi partyzanckiemu majora Hubala-Dobrzańskiego. Relacja o precyzji wręcz dokumentarnej od pierwszych słów:

„Tysiąc dziewięćset roku czterdziesto, a kwietnia jedenasto, przybyli Niemcy, zniszczyli wszystko etc.”

Albo żalony lament na śmierć kapitana Armii Ludowej — Jastrzębia-Palenia, któremu inscenizator L. Kanicki dał opiewać będącą metaforycznym przesunięciem w sferę fideistyczną zgodnym z mentalnością ludową. Każda z uczestniczek chóru wykonującego „Balladę o Jastrzębiu” to jakby Pieta — Matka Boska bolejąca nad zwłokami syna.

Trzeci wrzesień przykład tego samego typu to „Piosenka Siostry”. Wprawdzie anonimowa, nie związana z konkretnym faktem ale posiadająca w zapleczu wiele rodzących tragedii, które dałyby się w jej ramy wpisać.

Do tego samego nurtu w spektaklu Budreckiego i Kanickiego zaliczyłbym scenkę

„Matka” w wykonaniu Celi Klimeczak i Bohdana Mikucia. Jest w niej akcent ludowego, biologicznego niemal protestu przeciw okrucieństwu wojny, przeciw krzywdzie i niesprawiedliwości.

Na tle tych ludowych trendów jakże wstrząsająco brzmią, wygłaszane przez Bogusława Macha, Andrzeja Maya i Wojciecha Pilarskiego — fragmenty autentycznych listów od skazanych na śmierć i oczekujących w więzieniu hitlerowskim na egzekucję z listów twych z pogranicza życia i śmierci przemawia sponiewierana, ale niezmiernie godna ludzka.

Materia widowiska, którą przed naszymi oczyma rozwija autorzy, uprzedzona jest z różnych elementów.

Piosenka bogata treścią i wzruszeniem

Barżo różne są też klucze inscenizacyjne zastosowane do poszczególnych scen. Cza sem klucz taki służy pogłębieniu, czy nadaniu uogólniającego wymiaru przekazywanym treściom, czasem ogranicza się do zewnętrznego tylko efektu.

We wspomnianej scenie odczytywania listów skazanych twarze aktorów kolejno rozbiły się w świetle reflektora na tle białego ekranu, by po wypowiedzianej kwestii wygasnąć. Reflektor punktowy nie spełnia tu jedynie roli wskazówki. Jego zgaszenie pograżające twarz w mroku, ma właśnie cel uogólniający. W kraju, w którym rym liczba ofiar wojennych wyniosła sześć milionów, tragedia skazanych traci cechy indywidualne jednostkowe.

Zupełnie inny klucz zastosowano do sceny „Pogrzyb”. Partyzanci skupieni nad mogiłą poległego kolegi zabierają kolejno głos, ujawniając swoje uczucia związane z tą śmiercią. Potem powtórzyła to samo, ale wszyscy razem głosy ich mieszają się, jak na stole mikser-

skim. Chwył ten sygnalizuje, że chodzi o równoległy proces myślowy uczestników po grzebu.

Autorzy miksują także i piosenki dla uzyskania pewnych treści syntetycznych. Gdy na przykład co innego śpiewa chór kobiecy a co innego chór męski, suma składa się na różnicowany, dwuwarstwowy nastrój cierpienia i walki. W innych wypadkach piosenki nie nakładają się na siebie, lecz zderzają ze sobą, jak w nie najlepszej zresztą scenie „Czekam cię”, gdzie chodzi o przeciwstawienie ducha patriotycznego ulicy warszawskiej — szmirowatej atmosferze kolaboracyjnego teatru.

Nie wszystkie klucze inscenizacyjne są dobrej marki. Wydaje mi się, że np. interpretowanie serio żartobliwej, junackiej piosenki „Serce w plecaku” miało w sobie (nie z winy aktorów) coś z naiwnej dosłowności i niezgrabności.

Alle plamy tego rodzaju nie pozostają w widzu długo w pamięci. Przesłaniają się natychmiast przez piosenki, których urok działa tak bezbłędnie i tak niezmiennie od lat, że nawet nie trzeba zadawać sobie szczególnego trudu z ich inscenizacją. „Na talia”, „Marsz Gwardii Ludowej”, „Szturmówka”, „Hej, chłopcy”, „Marsz Mokotowa”, „Pałacik Michła”, „Czerwone maki na Monte Cassino”, „Oka” i królująca w widowisku piosenka tytułowa do słów Krystyny Kraheńskiej — oto ich długa lista.

W sumie zaprezentowano nam widowisko może nie zawsze spójne, ale obfitujące w interesujące rozwiązania reżyserskie i co najważniejsze sugestywne, silnie oddziałujące na publiczność. Adresowane jest przy tym i do starszego pokolenia i do młodzieży. Starsi — wia domo — potraktują przedstawiienie jako pretekst do projekcji własnych wspomnień. A młodzież? Może dopomoc jej ten spektakl pojąć coś z prawdy o czasach, gdy umierano ze słowem „Polska” na ustach...

W „Dziś do ciebie przyjdzie nie moge...” gra cały zespół Teatru Nowego. Jak zwykle była w przedstawieniach tego typu, gra nie dla osiągnięcia indywidualnych sukcesów aktorskich, ale skupiając się na rzetelnym wykonaniu zbiorowego zadania. Z zadania tego wywiązują się bez zarzutu.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Lech Budrecki, Ireneusz Kanicki — „Dziś do ciebie przyjdzie nie moge...”, widowisko muzyczne reżyseria — L. Kanicki, scenografia — Irena Skoczka; opracowanie muzyczne — Andrzej Hundziak, przygotowanie wokalne zespołu — Stanisław Urstein; ruch plastyczny — Sławomir Lindner; współpraca reżyserska — Helena Cwiżka; oprawa graficzna — Stefan Załozki; asystent reżysjera — Bolesław Nowak, Marian Stasiowski.

Drang nach Osten — stary czy nowy?

Wśród mnóstwa ugrupowań politycznych w NRF szczególnie uprzywilejowane miejsce zajmuje „Związek Prześledźców” i podległe mu, tak zwane „ziomkostwa”. Obie te organizacje wywierają silny wpływ na całokształt polityki Niemieckiej Republiki Federalnej.

Prześledźców, wywodzących się z różnych warstw społecznych i reprezentujących różne poglądy polityczne, łączy jedno: wszyscy oni, w wyniku rozpętanej przez Hitlera i przegranej drugiej wojny światowej, musieli opuścić rodzinne strony (w większości we wschodniej i południowo-wschodniej Europie) i osiedlić się w Niemieckiej Republice Federalnej.

Do „ziomkostw” wstąpiła zaledwie czwarta część przesiedleńców, niemniej ich przywódcy i działacze nie tylko rozwijają ekstremistyczną działalność polityczną, ale w dodatku usiłują utwierdzić w przekonaniu społeczeństwo NRF, że mówią i działają w imieniu wszystkich przesiedleńców. Wspomniany już „Związek Prześledźców”, który jest nadrzędnym organem, obejmującym wszystkie „ziomkostwa”, informuje, iż liczba jego członków wynosi około 2 milionów. Jednakże uzurpuje sobie

prawo do reprezentowania nie owych 2 milionów przesiedleńców, lecz szóstej części ogółu ludności NRF, to jest około 9 milionów Niemców.

„Ziomkostwa” powstały początkowo żywiołowo i nie jako organizacje polityczne, chodziło bowiem o możliwie najszybsze włączenie do mechanizmu gospodarczego NRF owych 9 milionów ludzi, zmuszonych przesiedlić się tutaj „z woli fuhrera”. Ta gospodarcza integracja już się dawno zakończyła i wydawałoby się, iż „ziomkostwa”, po spełnieniu tej misji, powinny były zaprzestać swej działalności. Stało się wręcz odwrotnie — ich działalność dopiero teraz zaczęła nabierać rozmachu i zataczać coraz szersze kręgi.

Przemówienia i inne oficjalne i nieoficjalne wystąpienia liderów „ziomkostw” są naszpikowane żądaniem „szybkogo rozważenia możliwości powrotu Niemców — przesiedleńców do poprzednich miejsc zamieszkania, a w każdym razie skoncentrowania wszystkich sił dla osiągnięcia tego celu”...

2.

Pod koniec przegranej wojny, do zachodnich rejonów Niemiec przybyło ponad 9 milionów Niem-

ców. Szczególnie dużo przybyło ich z terenu Sudetów, które stanowiły część terytorium Czechosłowacji, oswobodzonej przez wojska radzieckie w roku 1945. Fakt, że musieli oni przesiedlić się do NRF był następstwem nie tylko przegranej wojny, ale również, a być może przede wszystkim, zbrodniczej polityki hitlerowskiej kliki rządzącej, która — działając w imieniu narodu — wydawała zarządzenia o masowej ewakuacji ludności Niemieckiej, a także masowej eksterminacji innych narodów.

W zachodnich Niemczech rozwijają dziś energiczną działalność „ziomkostwa” litewskich, Besarabskich, czeskich i słowackich Niemców, „ziomkostwa” wychodźców z Gdańska i Jugosławii, Związku Radzieckiego i Węgier, Górnoślaska i Brandenburgii, z Prus Wschodnich i wielu innych rejonów Europy. Jednakże najbardziej aktywne politycznie spośród wszystkich pozostałych, jest „ziomkostwo” Niemców Sudeckich. Jego przywódcy nie ograniczają się do bezkompromisowej walki przeciwko temu, co nazywają „zakazem powrotu w rodzinne strony”. Nie ograniczają się też do rejonu Sudetów. Nie, ich plany sięgają znacznie dalej. Oto politycz-

ne credo liderów tego „ziomkostwa”:

„Celem niemieckiel polityki powinno być dążenie by Rosjanie, Polacy i Czechy opuścili okupowane przez nich stry. Los stry okupowanych przez Polaków i Czechów, życzę także od Rosji, a o Warszawie i Pradze powinniśmy się dogadać z Moskwą. Jeśli jednak Moskwa nie zechce z nami rozmawiać na ten temat, wówczas porozumiewajmy się z Pekinem, albo jeszcze z kimkolwiek innym, bezczar uwarte, jak ustąpi się aktualna polityka w świecie...”

Cytat ten pochodzi z oficjalnego organu „ziomkostwa” Sudetendeutsche Zeitung i został stamtąd zaczerpnięty nie w 1946 roku, jakby to można było przypuszczać, lecz z numeru z dnia 22 lipca ubiegłego roku.

W całej NRF nie ma ani jednej organizacji — nie wyłączając NPD — gdzie na kierowniczych stanowiskach byłoby aż tyłu byłych działaczy partii hitlerowskiej, co w „Związku Prześledźców”. Z kolei, wśród „ziomkostw” palme pierwszeństwa pod tym względem dzierży znów nie kto inny, jak właśnie „ziomkostwo Niemców sudeckich”. Jego Irzon kierowniczy wywodzi się z kadr byłych wysokich dygnitarzy Hitlerjugend, Hauptamtsleiterów, Kreisleiterów, posiadaczy „spe cjalnej złotej odznaki NSDAP” i innych. Większość z nich zakonspi-

O łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych

— Panie Dyrektorze, jakie filmy są obecnie realizowane w Łódzkiej Wytwórni?

— Rok ubiegły przyniósł filmy: „Hrabina Cosel”, „Tabliczka marzenia”, „Pan Wołodyjowski”, „Stawka większa niż życie”, „Cztery pan cerwi i pies”, „Samotność we dwoje”, „Strój narodowy”, „Otello z M-2”, „Bariery dźwięku”, „Przygoda z piosenką”, „Kierunek Berlin”.

Aktualnie w okresie zdjęciowym lub też po zdjęciach, znajdują się: „Rzeczpospolita babska” — w reżyserii Hieronima Przybyły, komedia, której akcja rozgrywa się tuż po wojnie na Ziemiach Odzyskanych, „Jak rozpętałem II wojnę światową” i „Jak zakończyłem II wojnę światową” — dwuseryjny film reżysera Tadeusza Chmielewskiego osnuty na motywach książki Kazimierza Sławińskiego pt. „Przygody ka noniera Dolasa”, dalsze odcinki serii „Cztery pancerni i pies”, realizowane specjalnie dla telewizji „Przygody Pana Michała” (13 odcinków półgodzinnych), „Struktura kryształu” — debiut fabularny reżysera Krzysztofa Zanussi. W trakcie realizacji znajdują się również dwa filmy nawiązujące pośrednio do tematyki sportowej: „Czekam na was w Monte Carlo” — film w reżyserii Juliana Dziędziny oraz „Znicz Olimpijski” — debiut fabularny reżysera Lecha Lorentowicza.

— Łódzka Wytwórnia jest z istniejących w Polsce wytwórni największa. Na czym polega ta wielkość?

— Związane jest to zarówno z największą bazą produkcyjną jak i szerokim wachlarzem usług, które możemy świadczyć na rzecz polskiej kinematografii, telewizji i teatrów. Dysponujemy 5 halami zdjęciowymi o łącznej powierzchni 3.038 m². Jest to decydujący czynnik zdolności produkcyjnej wytwórni filmowej. Mamy doświadczoną kadrę robotniczą i inżyniersko-techniczną, pełną technikę filmową. Z naszych usług korzysta około 100 różnych kontrahentów między innymi teatr, wspomniana już telewizja, inne wytwórnie filmowe.

W tym roku wykonaliśmy ogromną pracę nad wybudowaniem dekoracji atelierowych do „Lalki”, filmu produkowanego w wytwórni wrocławskiej, która ze względu na mniejsze możliwości nie mogła zrealizować tego we własnym zakresie. Ogrom

ne dekoracje filmowe stoją jeszcze w Aleksandrowie (ulice Berlina, Brama Brandenburska), w Bieszczadach (Stacja Chreptowska) — wybudowana do filmu „Pan Wołodyjowski” i Kamieniec Podolski do tego samego filmu wybudowany w Chęcinach. Trzeba także nadmienić, że wytwórnia ma w kraju monopol na pirotechnikę filmową, a nie jest to najłatwiejsza i najbezpieczniejsza pra-

Ale za tymi liczbami kryją się sprawy, o których już mówiliśmy. Ostatnio w wytwórni realizowanych było szereg filmów takich jak „Popioły”, „Faraon”, częściowo „Lalka”, ostatnio zaś „Hrabina Cosel”, „Kierunek Berlin”, i „Pan Wołodyjowski”. Drugą sprawą jest brak scenariuszy filmów fabularnych. Stąd w planach produkcyjnych szerzej uwzględniono stałe rosnące potrzeby telewizji. Warto nadmienić, że od roku 1967 produkujemy barwne filmy telewizyjne, które znajdują nabywców zagranicznych. Ostatnio w naszym Wydziale Obróbki Taśmy realizujemy zamówienie telewizji francuskiej.

— Na jakim etapie są prace w Łódzkiej Wytwórni zmierzające do podjęcia produkcji polskich filmów na taśmie 70 mm?

— Baza produkcyjna do realizacji tych filmów przygotowana jest od 2 lat. Warto zaznaczyć, że pierwsze „kino” przystosowane do wyświetlania filmów na taśmie 70 mm powstało właśnie w naszej wytwórni. Liczymy, że pierwszy polski próbny film na taśmie 70 mm z dźwiękiem stereo będziemy mogli rozpocząć realizować pod koniec 1969 roku. Przygotowujemy się również do opracowania zagranicznych filmów na taśmie 70 mm na rynek krajowy. W tej chwili wykonywane to jest za granicą.

— Jednym słowem w Wytwórni myśli się o przyszłości filmu fabularnego dla kin?

— Mamy szeroko zakrojone plany modernizacji wytwórni. W tej chwili na ukończeniu są prace związane z oddaniem do użytku budynku do dźwięku, technicznie przystosowanego do opracowywania filmów na taśmie 70 mm i bazy transportu. W najbliższych planach mamy na wadze modernizację starego bloku halowego i laboratorium obróbki taśmy filmowej. Ojcowie miasta zawsze życzyli łódzkiej wytwórni udziały nam dużej pomocy. W planach rozbudowy miasta zostały również uwzględnione potrzeby wytwórni, przewidziano powiększenie naszego obszaru i przyznanie nam do datkowych terenów zdjęciowych. Prace związane z modernizacją i rozbudową wytwórni planujemy co najmniej do 1975 roku.

ROZMOWA z DYREKTOREM mgr. WIKTOREM BUDZYŃSKIM

ca. Wytwórnia stanowi również poważne zaplecze techniczne kinematografii, konstruujemy na Łąkowej unikalny sprzęt filmowy i ta „uboczna” produkcja ma duże znaczenie dla postępu technicznego w produkcji filmów.

— Ile filmów fabularnych rocznie jest w stanie zrealizować Łódzka Wytwórnia?

— 15—18. Oczywiście cyfry te są uzależnione od charakteru filmów. Np. takie produkcje jak: „Kierunek Berlin” czy „Pan Wołodyjowski” zajmują miejsce czterech innych mniejszych filmów.

— Czy ten górny pułap ilościowy był kiedyś osiągnięty?

— Aby dokładnie odpowiedzieć na to pytanie, może podam kilka cyfr. I tak: w roku 1965 zrealizowaliśmy 13 filmów pełnometrażowych dla kin i 11 dla telewizji, a w roku 1968 — 7 dla kin i 35 dla TV. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że mniej więcej produkcja 3—4 filmów telewizyjnych równa się realizacji jednego pełnometrażowego filmu fabularnego dla kin.

— Z liczb podanych przez Pana Dyrektora wynika, że systematycznie wzrasta ilość filmów telewizyjnych a maleje produkcja filmów pełnometrażowych. Czyżby w niedalekiej przyszłości miały one powstawać niejako „od święta”?

— Może to tak rzeczywiście pozornie z cyfr wygląda.



Często narzeka się na przestarzały poziom techniczny polskiej kinematografii. Czy ma to jakieś uzasadnienie w odniesieniu do łódzkiej wytwórni?

Rok 1969 powinien przynieść zamknięcie programu unowocześniania naszej techniki dźwięku oraz znaczny postęp w kamerach zdjęciowych tzw. lekkich. Po zrealizowaniu tych podstawowych programów czekają nas nowe zadania w technice oświetlenia, pirotechnice i tzw. zdjęciach kombinowanych. Modernizacja starego bloku halowego oraz przebudowa wydziału obróbki taśmy pozwoli wyrównać wszystkie ołwi wytwórniowego aparatu produkcyjnego do jednego poziomu. Potrzeby są więc duże, ale już dzisiaj polska kinematografia dysponuje przy ul. Łąkowej funkcjonalnie zbudowanym i nieźle wyposażonym zakładem produkcji filmów, który dobrze służyć może polskiej sztuce filmowej.

Rozmawiała:
JADWIGA PYCZEWSKA

Spektakle tygodnia

	spektakle widzów proc.		
WIELKI			
„Pan Twardowski”	1	1276	100
„Zemsta nietoperza”	1	1276	100
„Romans gdański”	1	1276	100
„Książę Igor”	1	1276	100
„Carmen”	1	1276	100
„Jeziorko łabędzie”	1	1276	100
NOWY			
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę”	2	1400	100
„Czerwone pantofelki”	1	700	100
NOWY			
Mała Sala			
„Bliski nieznajomy”	4	600	75
JARACZA			
(w „Rozmaitościach”)			
„Niemcy”	4	2520	100
„Przedwiośnie”	3	1788	94
7.15			
„Zajęczek Zorro”	4	1544	92
POWSZECHNY			
„Kawior i kaszanka”	2	1180	88
„Rzecz listopadowa”	2	1320	88
„Turniej z czarodziejem”	2	1320	100
OPERETKA			
„Czerwony kapturek”	6	6146	92
FILHARMONIA			
2 koncerty symfoniczne		900 słuch.	65
2 koncerty rozrywkowe		1100 słuch.	80

rowała się w „niewinnym” związku, noszącym nazwę „Witokobundu”. Członkowie „Witokobundu” zasiedają w prezydium „związku przesiedleńców”, przeniknęli do partii chrześcijańsko-demokratycznej, do wolnej partii demokratycznej (SwDP) i, oczywiście, do neonazistowskiej, nacjonaldemokratycznej partii — NPD. Na ogólną liczbę 72 członków wchodzących w skład kierownictwa „ziomkostwa Niemców sudeckich”, 39 należy również do „Witokobundu”. Na 14 członków prezydium tego „ziomkostwa”, aż 9 osób jest równocześnie członkami „Witokobundu”...

3. W wydawnictwach „ziomkostwa Niemców Sudeckich” zupełnie otwarcie wynosi się pod niebiosami Konrada Heinleina. Oto dający dużo do myślenia cytaty z pismek sportowców „ziomkostwa” — Sudetendeutsche Turnerbriefe:

„Sudecko-niemiecy gimnastyści nigdy nie zapomną Konrada Heinleina. On zjednoczył ludność niemiecką Czech, Moraw i Sudetów w związek narodowy, tworząc siłę, mogącą się przeciwstawić słowiańskiemu potopowi (...). Musimy być wdzięczni jemu i jego współpracownikom za rozbudzenie w nas świadomości narodowej, która pobudziła tutaj Niemców do wzniesienia godnej naszego narodu, zapory przeciwko wschodniemu niebezpie-

czeństwu. Obecnie znów powinniśmy budować ową zapórę...”

Należy przypomnieć, iż Konrad Heinlein, którego dziś tak wychwalają w NRF, był głową sudeckich Niemców-nazistów, a jego partia — filia nazistowskiej NSDAP, przyjmując dla niepoznaki nazwę: „Partia Niemców Sudeckich”. Mimo to, w dzisiejszym „ziomkostwie Niemców Sudeckich”, które nadaje ton polityczny wszystkim innym „ziomkostwom” w NRF, byli hitlerowcy bez skrupułów kontynuują stare tradycje Konrada Heinleina.

A oto „stormulowanie” Heinleina sprzed 28 lat, które i dziś ostrzega przed stałym aktualnym niebezpieczeństwem. 5 marca 1941 roku zamieścił on w praskiej gazecie „Neuer Tag” artykuł, w którym czytamy ni mniej, ni więcej:

„Żeby uchronić się od czeskiej interwencji, byliśmy zmuszeni klamać i kryć nasze oddanie sprawie narodowego socjalizmu. Oczywiście, w pełni jesteśmy powiadzić jawnie, wczem i wobec, że jesteśmy narodowymi socjalistami. Ale czy wtedy byłbyśmy zdolni wypełnić naszą misję zniszczenia Czechosłowacji...”

4.

Wiele oznak wskazuje na to, że większość przesiedleńców nie ma chęci powrócić na ziemię, które niegdyś musieli opuścić. Nawet jeśli by dziś taka ewentualność zaist-

niała. Wydawałoby się więc, iż kadrowi liderzy „ziomkostw” nabiorą rozumu i trzeźwo ocenią sytuację. Niestety, nowe prawicowo-radykalne tendencje, przewijające się w politycznych koncepcjach Republiki Federalnej oraz nierozważna więź kół rządzących w NRF z liderami „ziomkostw”, zarówno personalna jak i ideowa, nie stwarzają widoków na zajęcie pozycji realizmu politycznego.

Żeby nie być gołosłownym, dorzucę barwny bukiet jednoznacznych wypowiedzi politycznych przywódców „ziomkostw”:

„Niemiecki wschód nie tylko w przeszłości był żywotną siłą państwa. Powinien się nią stać także teraz i mimo wszystko będzie musiał znów przyjąć Niemców, żeby nie zatechli w ciasnocie przepołowionych Niemiec...”

(Franz Zeuhot, funkcionariusz „Ziomkostwa Niemców Sudeckich”, listopad 1967 rok)

„Żdamy powrotu do ziemi ojczy, stę wszystkich wygnanych Niemców i zwrócenia im ich własności, a także rewizji obecnych granic w centralnej i wschodniej Europie! (...) Nadejdzie dzień, kiedy nasze niemieckie szybowce będą znów latać nad lasami Czech”.

(Przywódca „Ziomkostwa” Zeuhot, 1961 rok)

„Samą integracją problemu prze-

siedleńców rozwiązać nie można. Mamy za mało ziemi. Nie wolno nam zapominać, że Niemcy będą znów zmuszone szukać przestrzeni życiowej u swych sąsiadów, którym taka przestrzeń jest niepożrebna...”

(Walter Stein, lider „Związku przesiedleńców”, 1962 rok. Z przemówienia, które wygłosił jako minister pracy i jednocześnie wicepremier rządu Bawarii).

„Niemiecka polityka wschodnia może, oczywiście, zmieniać metody, ale jej cele pozostaną niezmiennymi. Bez zlikwidowania bolszewizmu nie może być wolnej Europy. To jest najważniejszy punkt...”

(„Sudetendeutsche Zeitung”, Monachium, 13 września 1963 roku).

„Jak słusznie sądzi Zeebom, jego program rozwiązania problemu Niemców sudeckich jest jedyny i najbardziej realny, ponieważ ani Bundestag, ani rząd NRF nie są upoważnione do prowadzenia rozmów na ten temat. Utrzymuje on, iż jego rozwiązanie może nastąpić w następujących warunkach i kolejności: najpierw Czechosłowacja odzyskuje całkowitą niepodległość, następnie Niemcy powracają na opuszczone niegdyś tereny sudetoniemieckie, później — w wyniku referendum — układ z Czechami, dotyczący form ustrojowych Czechosłowacji i sprawiedliwego zrównania praw Niemców i Czechów...”

(„Pommersche Zeitung”, organ „Ziomkostwa pomorskiego”, Hamburg, 18 marca 1967 roku).

(Z audycji w telewizji bawarskiej, z dnia 13 października 1965 roku)

„Z okazji Złotu Niemców sudeckich w Stuttgarcie w 1965 roku, przybyli tam z Paryża, w celu przeprowadzenia rozmów, przedstawiciele „Czeskiego centrum walki o integrację europejską” oraz przedstawiciele „narodowego związku Słowaków zamieszkałych za granicą”. Obie te organizacje polityczne wzywają państwa zachodnie do oswobodzenia narodów centralnej i wschodniej Europy od komunistycznej przemocy...”

(Z komunikatu biura prasowego „Ziomkostwa Niemców Sudeckich”, 1959 rok)

„Czy pertraktacje o podpisaniu umowy o nierozprzestrzenianiu brońi jądrowej nie postawiły nas w położeniu, w jakim, za nasz podpis, powinniśmy zażądać rekompensaty politycznej?”

Kto może nam przeszkodzić, żebyśmy zażądali: 1) pozostawienia Niemiec w starych granicach; 2) zjednoczenia ziem niemieckich; 3) stolicy w Berlinie. Jeśli Rosja nie zechce podpisać umowy bez nas, niech chociaż zapłaci żadaną przez nas cenę i zrozumie wreszcie, że obróciło się koło historii świata...”

(„Pommersche Zeitung”, organ „Ziomkostwa pomorskiego”, Hamburg, 18 marca 1967 roku).

(Opracował: W. ST.)

Rodzice i dzieci

Według danych francuskiej ankiety IFOPA na temat znanych wydarzeń w środowisku studenckim we Francji, 61 procent paryżan usprawiedliwia wystąpienia młodzieży akademickiej, i częściowo licealnej, które wybuchły w stolicy Francji 8 maja 1968 roku. 33 procent ankietowanych uważa, iż będzie to początkiem głębokiego i długotrwałego kryzysu politycznego. Ale już 1 czerwca — 54 procent ludności Francji wypowiedziało się zdecydowanie przeciwko manifestacjom studenckim. W tym czasie zabrał głos general de Gaulle, rodzice „zrewolucyjnych” i „niezrewolucyjnych” dzieci porządnie najęli się strachu, i wreszcie ostro manifestacje potępili. Z kolei dzieci potępiły rodziców. Głos zabrali profesorowie wyższych uczelni, pedagodzy, publicyści. Od tego czasu minęło już osiem miesięcy. Parę tygodni temu l'Express przeprowadził szeroki sondaż opinii publicznej na temat wspomnianych wydarzeń we francuskim środowisku akademickim.

W dzisiejszym numerze ODGŁOSÓW zamieszczamy niektóre, bardziej interesujące, opinie dzieci — studentów i uczniów liceów francuskich — o swych rodzicach i opinie rodziców o swych dzieciach, nieraz bardzo samokrytyczne.

Oto co mówią o swych rodzicach 17 letnia uczennica ostatniej klasy liceum: „Unikałam zasięgania rad rodziców. Wszystko, co dotyczyło mojej przyszłości, moich poglądów i dążeń, nie miało nie wspólnego z ich spojrzeniem na świat. Nigdy nie poruszaliśmy tematów tabu, takich jak sprawy religii i seksu. Nigdy nie poruszaliśmy tych tematów. Więc zamknęłam się w sobie. W rezultacie, już od dwóch lat, nie prowadziliśmy szerszych rozmów, ponieważ nie mieliśmy przedmiotu do dyskusji...”

18 letnia studentka: „Ojciec jest dobry uwielbieniem, jest liberalny. Ma poglądy lewicowe. Ale sportrządził, że jak trzeba — zresztą podobnie, jak to się dzieje wszędzie — własne interesy stawia się na pierwszym miejscu. Mój rodzic, ce są tacy sami, jak wszyscy inni...”

Mówi 19 letni Piotr, student, bardzo zaangażowany lewicowiec, syn przemysłowca: „Ojciec dużo mnie nauczył. Pobudził umysł. Uważam go za polityka. Znajdujemy dużo tematów do dyskusji. Konflikt pokoleń? Śmieszne. Istnieje tylko konflikt środowisk. Mój ojciec jest humanista, ja jestem rewolucyjną. To wszystko...”

A Monika, „meta” przyjaciółka Piotra, komentuje po swojemu: „Jest zaściankowy ojciec. Mówi, jak on. Chce go naśladować.”

Julietta, 17 letnia uczennica, zauważa: „Polityka rozwija zmysł krytyczny. My już osądiliśmy naszych rodziców. Ale to wcale nie znaczy, że kochamy ich mniej. Być może, kochamy ich przez to mocniej, bardziej trzeźwo. Na przykład wiem teraz dokładnie, jak zmienić swoją matkę...”

Filip, 18 letni rewolucjonista, z kategorii „twardych”, tak mówi o swym ojcu emigrancie: „Przyjechał do Francji bez grosza przy duszy i dorobił się bez niczyjej pomocy. Jeśli posiłkiem na barykadę, to dlatego, że on zginał grzbiet od pracy, jak koń. Tak, ma wygląd

idioty, ale szanuje go, ponieważ w ciągu dwudziestu lat nigdy nie oszukał matki. Nie wiem, czy ja bym to potrafiła...” I dorzuca: „Moi rodzice to wspaniali ludzie, w pełnym tego słowa znaczeniu...”

Syn górnika z północnej Francji mówi z dumą o rodzicach: „U nas, gdy nasi rodzice rozpoczęli strajk, wszyscy idą za nimi. To właśnie oni zaczynają...”

A młody rolnik z zachodu Francji: „Dziecko młodzi rolnicy wystąpił przeciwko swym rodzicom? Życie jest tak samo ciężkie dla młodych jak i starych, a problemy identyczne...”

Syn wojującego lewicowca: „Uczniastycznym we wznoszeniu wszystkich barykad. Mój rodzic? Oni też tam byli...”

A oto opinie rodziców o swych dzieciach. Jedna z matek tak mówi: „Co bym nie zrobiła, czy powiedziała, wszystko jest nie tak. Sądziłam, że on mnie nie cierpi, że uważa mnie za mieszczkę... Moj pieszczak futrzany, wstydzę się, na pewno... On jest przeciwko nam... Oni wszyscy są przeciwko rodzicom...”

Tej powierzchownej opinii towarzyszy też zdesperowana samokrytyka: „Oni są wspaniałomyślni, my jesteśmy egoiści. Myślę także, że pozostawiłam go samemu sobie. Dzieliąc czas pomiędzy telewizję, radio i pracę, wypuszczałam go z domu żeby mieć spokój...”

„Rozdzielił m — mówi matka z południowego wschodu Francji (za wódz: pedagog, ojciec: nauczyciel) — na temat ich przyszłości, nie jestem zdolna. Mogę im tylko pomóc w dostrzeganiu problemów, ale brak umiejętności w udzielaniu im odpowiednich wskazówek życiowych, nie rodzi autorytetu, który by mógł wywierać wpływ na moje dzieci...”

Pewien paryski adwokat mówi bez ostentacji: „Jakie prawo mamy ich pouczyć, że nasza moralność, nasze reguły życiowe, nasza koncepcja współżycia są dobre? Prze-

cień każdego dnia, na ich oczach, sami, wszystko to omijamy. Przecież my w te pryncypia nie wierzymy. Naszą jedyną troską jest komfort materialny i spokój moralny, a nasze tchórzostwo zmusza nas do prowadzenia brzydkiej gry (Kilka lat temu wyświetlano film o potknięciach młodoci, pod tytułem „Oszuści”). To nie oni, młodzi, byli oszustami, to my byliśmy oszustami. Nasze dzieci ustawiają przed nami okrutne lustro, w którym oglądamy nasze zmarszczone. Kompromitują nas wobec ideałów naszej młodoci. Nie mogę robić z siebie kogoś innego niż jestem; zbankrutowanym ideałem. Ale potrafię uczucie wyznać. I ostrzegam mego syna, żeby nie szedł moimi śladami...”

Są jednak i taisejzy rodzice-towarzysze, którzy pochwalają: „Ależ tak, mój maly, rob rewolucję, rozumiey ciebie...” I usmiechają się do siebie z pobłażaniem: „Trzeba, żeby młodoc się wyżyła. Przejdzie mu ta rewolucyjność...”



OBIEKTYW

ZYCIE RODZINNE

Jak wyglądał model życia rodzinnego przed, dajmy na to, pół wiekiem? Przypominam sobie z lat dziecińczych stary podręcznik do nauki języka francuskiego, w którym pierwsza lekcja nosiła nazwę „La famille”, czyli — rodzina. Pod nagłówkiem był rysunek, który ukazywał wieczór rodzinny. Dziadek uklada na stole pasjansa, babcia robi na drutach, ojciec w bujanym fotelu zakrywa się płachtą gazetę (może czyta, może drzemie), matka krząta się, przygotowując kolację, starsza córka czyta książkę, a młodszą lato-rośl (syn) bawi się pod stołem z kotkiem, używając do tego motka wełny, który sto-czył się z kolan babci.

Uroczy obrazek, prawda? Niezmacone niczym szczęście i harmonia wruszająca. Tyle że na sam widok tego rysunku ogarniała człowieka nuda...

Zastanawiam się, jak by wyglądał rysunek wieczoru rodzinnego anno 1969. Chyba najbliższemu życiu byłby, gdyby przedstawiał dziadka, babcie, rodziców i dzieci siedzących przed telewizorem. Na przykład w czwartek wieczór, gdy zabrzmi jak trąbka apelowa sygnalizująca „Stawki większe niż życie”, w milionach domów w Polsce tak właśnie wygląda życie rodzinne.

Zadaje też sobie pytanie: czy to dobrze, czy to źle? Już nie o Klossa mi chodzi. W ogóle o te wieczory spędzone na wspólnym oglądaniu telewizji, kiedy rodzina niby to jest w jednym pomieszczeniu a przecież odizolowana od siebie bo każdy odbiera program na własny rachunek. Niech no tylko ktoś pisnie słówko, zechce podzielić się swoimi kłopotami z tym, że inni zgromiały sykaniami, żeby nie przeszkadzał, że później... A później robią się wszyscy śpiący i idą do łóżek.

Stąd rozpowszechnione są głosy że telewizor zabija życie rodzinne. Przecież w tej najmniejszej a przy tym podstawowej komórce społecznej musi znaleźć się czas na rozmowę, na zainteresowanie się wzajemne sprawami poszczególnych jej członków, nawet na wzajemne krzykowanie się. Taka rozmowa rodzinna rozładuje konflikty i kompleksy, zapobiega przewrotom w przyszłości służy wychowaniu progenitury i tak dalej.

Wzobrażam sobie jednak, że i w owej rodzinie sprzed pół wieku z podręcznika francuskiego nie wszystko musiało przebiegać idealnie. Kiedy matka chciała poskarżyć się na droższe i kłopoty finansowe, ojciec rodzinę gromił ją: „Nie mogłabyś później o tym powiedzieć? Przecież widzisz że czytam gazetę”. Dziadek mruzczył zapewne oderwane, że pasjansa nawet spokojnie nie może ułożyć. Babcia gniewała się na wnuka, że poplątał włóczkę, a matka wyładowywała rozżalenie na córkę, że jej nie pomaga w drobnych zajęciach domowych.

Nie, proszę państwa! Jeżeli w naszym

życiu domowym nie znaleźliśmy czasu na wymianę zdań, na okazanie zainteresowania dziećmi, to nie telewizor winien. To martwe urządzenie techniczne działa na nas wprawdzie prowokująco, ale właściwe z niego korzystanie zależy od nas samych.

Mówi się również, że telewizja odbija się fatalnie na życiu towarzyskim. Zeldą się znajomi i zamiast pogawędzić wpatrują się w ekran. To prawda. Ale należałoby się zapytać, jakie to straty przez to się ponosi? Czy dawniej, w czasach przedtelewizyjnych nie zdarzało się, że zeszli się sąsiedzi, posiedzieli wspólnie pomilczeli, bo nie bardzo widzieli o czym mówić, i rozeszli się znudzeni. Z dwójką zlego lepsze już wspólne obejrzenie „Kobry” (a pro-pis nie umiatać atrakcyjności Klossowi, już że za czwartkową „Kobry” chyba trochę steskniliśmy).

A teraz trochę poważniej. Istnieją niewątpliwie negatywne wpływy telewizji na dorosłych i na dzieci łatwo osiągalna rozrywka, którą oferuje skrzynka telewizora w każdej pokojku, powoduje w wielu wypadkach zanik zainteresowań książką, teatrem, kinem. Ktos kto każda wolna chwila spędza przed odbiornikiem włączając osoby siedzi i chorem, popełnia wielki błąd: zastępuje udział w życiu przyglądaniem się życiu. To nie jest to samo!

Ale jednocześnie telewizja rozsądnie dawkuje ma zalety ogromne. Informuje o świecie, rozszerza horyzonty budzi i wzbogaca potrzebę kulturalną. Czytałem kiedyś, że po nadaniu w telewizji nowo-jorskiej interesującego programu o Stendhalu odnotowano w ciągu 3 następnych dni sprzedaż w księgarniach tego miasta 50 tysięcy egzemplarzy powieści „Czerwone i czarne”, której w ciągu poprzednich siedmiu lat sprzedano zaledwie 3 tysiące egzemplarzy!

A więc telewizja może oddziaływać i w ten sposób. Zachęcać do sięgnięcia po książkę, do pójścia do teatru itd. Jedno jest przy tym pewne, że choćby nie wiem jakie gromy mijały na telewizję jej przeciwnicy nie zmienią w sytuacji. Jej wpływ na społeczeństwo nie tylko nie zmaleje, ale będzie rósł.

W związku z tym rada jest tylko jedna. Przestrzegajmy dyscypliny czasowej, dokonujmy rozsądnego wyboru pozycji programowych, które nas naprawdę interesują, i co najważniejsze pilnujmy dzieci! One mają w tej mierze apetyt nienasycone. Gdy świadomie i umiarkowanie korzystają będziemy z uroków telewizora, wówczas z pewnością nie będziemy tęsknić za idyllą rodzinną według wzorca sprzed pięćdziesięciu lat!

Władysław Gronowicz

ZA TYDZIEŃ NA ŁAMACH „ODGŁOSÓW” WYPOWIEDZI DELEGATÓW NA OGÓLNOPOLSKI ZJAZD PISARZY WIEŚLAWA JAZDZYŃSKIEGO, JANA KOPROWSKIEGO, MARIANA PIECHAŁA, TADEUSZA PAPIERA I MARKA WAWRZKIEWICZA

ORAZ:
— O ŻYCIU UCZUCIOWYM LEOPOLDA TYRMANDA — JERZY KOCHANSKI
— O EUROPIE OD STRONY ZACHODNIEGO WYBRZEŻA — ROMAN ŁOBODA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Choć politykę repertuarową naszej kine-matografii nie zaspokaja w pełni zapotrzebowania na określone gatunki filmowe, jej właśnie zawiązujemy to, że w elekcie dość surowych eliminacji mamy możliwość oglądania na naszych ekranach filmów wyselekcjonowanych z przeogromnej masy „wziętej kontekst”, z powodów westernów, kryminałów, melodramatów itp. Totalnie często się zdarza, że oglądamy filmy znaczące, wyróżniające się. Do tych zdarzeń zaliczyć można western „STRZAŁY O ZMIERZACHU” w reżyserii S. Peckinpaha. Reżyser ten znany u nas jako twórca elokowego filmu „Major Dundee” po raz drugi ujawnia się jako jeden z tych reżyserów, którzy respektując tradycyjne kanony westernu, tworzą jednak dzieła o znaczeniu głębszym, wykraczające poza bodźce tylko natury emocjonalnej, postępujące się ironią i sceptycyzmem w tym miejscu, gdzie do tej pory wiodł prym podziw dla niepokonanych bohaterów Zachodu.

Sam pomysł konfliktu i wybór bohaterów świadczyć może o tym, iż „Strzały o zmierzchu” dopięć można do listy takich westernów jak „Reka, Czerwona”, „W samo południe” czy pokazywany ostatnio w telewizyjnym K.I.F. film „15.10 do Yumy”.

Bohaterowie „Strzałów o zmierzchu” to dwaj starzy przyjaciele szerywowie (zna-komite role J. Mc Crea i R. Scotta) — rewolwerowcy z urzędu. Petnąc swój urząd w stabilizującej się powoli Kalifornii, mają jeszcze jedną okazję przeciwia wielkiej przygody, która właściwie jest dla nich już tylko odpowiedzialną i ciężką pracą. Moją odwieść do banku złota odukpione od poszukiwaczy z matką, zagubionej w górach osady. Ruszając w podróż mają za sobą całą niemal historię kształtowania się współczesnej im społeczeństwa tych ziem, są niemal tej historii uosobieniem. Dziś starzy, znudzeni pragną już również spokoju i stabilizacji. Osią-

gnąć ją bez pieniędzy jak wiadomo nie-sposób — stąd pokusy, stąd wreszcie pod-stawowy konflikt filmu.

Przedstawione w filmie dzieje tej wy-prawy obfitując w sytuacje pełne drama-tyzmu i emocji odarte są jednak z typowe dla westernu malowniczości i roman-tyzmu. Goruje nad wszystkim smutek, ironia, sceptycyzm. To nie są bohaterowie jednego sprawnego strzału i jednej kar-kotomnej galopady, to bohaterowie zmę-czeni. Zachowali doświadczenia, odwagę i spryt, byli młotkami fizycznie sprawniejszy czy banda opryszków nie stanowi dla nich większej przeszkody. Groźniejsz jest trud samej wyprawy w góry, które trzeba pokonać. Stary szeryf jest po prostu zmęczony fizycznie i rozgoryczony wobec świata, który nie umiał mu służyć podziękować. Wierny pozostaje jednak swym zasadom i obowiązkom. Tak więc w obliczu niebezpieczeństwa potrafi wykorzystać nie tylko swe doświadczenie,

ale stać się znów na chwilę młody. Ten wysiłek będzie już wysiłkiem ostatecznym, lecz opracowanym — pozwoli po raz ostatni brońcować prawa, tak potrzebnego tej sprawie, pozwoli przekonać się jeszcze raz, że jedyną wartością, którą naprawdę w swym życiu zdołał ocalić jest przyjaźń. Bo film ten to w końcu piękna opowieść o jednym życiu, o jego podsumowa-waniu i pożegnaniu, opowieść o życiu gorzkim lecz nie zmarnowanym. Ambitny w temacie, nowoczesny w sposobie nar-racji film Peckinpaha jest świetnym przy-kładem tego jak można zrealizować film mocny, męski bez uciekania się do me-tod, które w kinie współczesnym, w tym także w westernie, ponoszą się ostatnio niepodzielnie. Należy do nich opatwiwanie widza okrucieństwem, które nie było prze-cież cechą klasycznego westernu. Film Peckinpaha też jest okrutny, ale tylko tam, gdzie okrutne jest samo życie i jego okoliczności, oraz tym podmiejąc najład-niejsze cechy mitologii west-story.



Drugi film, o którym przypada dziś mówić, przenosi nas w inny zmitologizo-wany świat, w samochodowy wiek XX. Ten film zrobił człowiek samochodowym mitem opętany, opętanie to tym większe, iż ze słowiańskiej krainy rodem. Zrealizo-wany dla belgijskiego producenta „START” Jerzego Skolimowskiego jest poematem na cześć samochodu, dodajmy uczciwie — poematem trochę heroikomicz-nym.

Czy bohaterem filmu jest J. P. Leaud czy „porche” trudno właściwie powie-dzieć. Pogodź tego pierwszego za tym dru-gim łączy ich nierozdzielnie. Marzenie o starcie w rajdzie samochodowym wypeł-nia raty filmu, marzenie to bohater stara się zmateriałizować. Ładna to opowieść choć niewiele znacząca. Napisana chyba głównie po to, by móc ukazać piękno i sprawność samochodu, a przy okazji sprawność człowieka za kierownicą. Cho-

pak-bohater filmu jest miły ale trytuja-cy. Jego pasja młodzieńcza przybrała do-wiem nie tylko objawy fantazji co ma-nii. Można J. P. Leauda (młodnego bar-dzo aktora francuskiego) lubić, gdy widzi się go pierwszy raz, gdy oglądamy jego gierki wieści razy zaczyna także trytu-jać. Może to właśnie i wina Leauda (grał w „Męski żeński” Godarda), że za-cynam podejrzewać że Skolimowski, po-za na pewno osobistą pasją samocho-

wą, włączył w swój „Start” pomysły skądinąd nam znane. Są w „Startcie” echa filmów Godarda i Letera. Jeśli traktować „Start” tylko jako mi-łą oku wprawkę, to przyznać trzeba że wprawka to znakomita, ale nas intere-suje przecież rozwój talentu naszych re-żyserów.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



EUGENE LABICHE

W związku z ukazaniem się osmego i ostatniego tomu „Dzieł wszystkich” Eugène Labiche’a francuska prasa literacka przypomina sylwetkę i dzieła tego największego komediopisarza Drugiego Cesarstwa.

Eugène Labiche (1815—1888), z wykształcenia prawnik, początkowo próbował swych sił w noweliście i powieści, wkrótce jednak przeniósł się na komediopisarstwo i w tej dziedzinie osiągnął olbrzymie sukcesy. Wystarczy powiedzieć, że wystawił aż 174 komedie. Pracował wprawdzie nie sam, gdyż miał licznych współautorów, a doliczono się ich czterdziestu trzech, nie mniej to Labiche uchodził za właściwego twórcę tych komedii. Wyłącznie sam napisał podob

no tylko część sztuk. Część naście komedii nie zostało wystawionych, ani opublikowanych. Odnaleziono z nich pięć, a dziewięć zaginęło.

Dzieła tego autora, grane go z powodzeniem do dziś, odznaczają się zabawnymi spieciami, groteskowymi postaciami, wartką akcją i lekką formą, cechował przede wszystkim iralny rysunek charakterów. Wyznał, że kiedy pisze plan sztuki, zastygnął się długo nad każdą sceną nad tym czy przedstawi ona należyte charakter, czy wnosi coś nowego dla ukazania rozwoju typów charakterów. Zazwyczaj u Labiche’a trzy motywy kierują postępowaniem bohaterów: egoizm, próżność i chciwość. Labiche odnosił nie szczątkowo Drugiego Cesarstwa, a że sam należał do tej warstwy, znał dobrze jej cechy i dlatego z taką celnością potrafił dać groteskowy obraz egoistów, lekkoduchów, birbantów, ludzi przesądnych, zakłamanych moralistów, zniechędzających konserwatystów. Prawdy ogólnoludzkie czy refleksje filozoficzne potrafił podać w lekkiej, zabawnej formie, a jego komedie pełne pogodnego humoru są dla dzisiejszego widza doskonałą okazją do zapoznania się z ludźmi i

Przypominamy wszystkim Czytelnikom, że termin nadsyłania odpowiedzi na ogłoszoną przez nas Ankietę na temat „Odgłosów” upływa dnia 15 lutego br.

stylem życia bogatego mieszczaństwa z okresu Drugiego Cesarstwa.

Wśród „Dzieł wszystkich” znalazły się także dzienniki Labiche’a z podróży do Włoch oraz obszerny fragment listów wysyłanych do krewnych i przyjaciół.

ŚMIERĆ AUSTRIACKIEGO PISARZA

W wieku lat 84 zmarł w Wiedniu pisarz Franz Theo-

dor Csokor, prezes austriackiego PEN-Clubu. Był autorem ponad 30 sztuk teatralnych, wielu opowiadań i powieści. W roku 1955 otrzymał państwową nagrodę literacką. Jako nieprzejednany wróg hitleryzmu Csokor opuścił Austrię w roku 1938 udając się na wygnanie. Przebywał w Polsce, Rumunii, Jugosławii i południowych Włoszech. Po zakończeniu drugiej wojny światowej powrócił do Austrii.

POPRIEDNI, 4(586) NUMER „ODGŁOSÓW” UKAZAŁ SIĘ OMYLKOWO PO RAZ DRUGI JAKO NUMER 3(585), ZA CO NAJSERDECZNIEJ NASZYCH CZYTELNIKÓW PRZEPRASZAMY.

DUBUFFET ARCHITEKTEM

Jean Dubuffet, urodzony w roku 1901 w Hawrze, mieszka w Wenecji i w Paryżu. Cieszy się sławą jednego z najwybitniejszych współczesnych malarzy francuskich. Początkowo ekspresjonista z czasem wykształcił własny, charakterystyczny styl twórczości. Lodzianie

mogli zapoznać się z osobieścią z jego malarstwem oglądając obraz tego artysty pt. „Taczki” w grudniu na wystawie współczesnego malarstwa francuskiego w Muzeum Sztuki. Ostatnio w Paryżu otwarto dwie wystawy Dubuffeta. Jedna zatytułowana „Peintures monumentales” a druga „Tour aux figures”. Obrazy sprzedawane na

pierwszej z tych wystaw wahały się w cenie od 45 tys. do 100 tys. franków. Również wystawiane i sprzedawane były na wystawie rzeźby Dubuffeta wykonane ze sztucznego tworzywa a przypominające kształtami krzesła, stół, aparat telefoniczny itp. oraz ludzkie postacie, które autor zabawnie pona-

Druga wystawa Dubuffeta otwarta została w Muzeum Sztuki Dekoracyjnej. Znalazły się tam makieły które nazwać by można architektonicznymi. M. in. malarz pokazał makieły dzwonek budowlany w kształcie wlezy. Projekt został zakupiony dla Los Angeles. Wieża po jej wybudowaniu z betonu i gumy ma mieć wysokość 24

metrów, podstawa będzie kwadratem, którego każdy bok wyniesie 12 metrów długości. Jak twierdzi Dubuffet wnętrze tej budowli ma być miejscem marzeń dla kawalerów. Będzie to mieszkanie, gdzie nie można postawić ani stołu, ani krzesła, ani łóżka, za to podłoga będzie tak ukształtowana, że zastąpić ma wszelkie meble.

Mieszkanie takie można będzie zmywać wodą z wezła gumowego. Oczywiście ewentualny lokator nie będzie w tym mieszkaniu posiadał żadnych osobistych rzeczy. Kręte schody prowadzić będą do sali górnej, a przedchadzka taka przypominać ma spacer górski.



Rzeźby Dubuffeta: Człowiek i drzewo, krzesło i stół, telefon

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

ŚMIERĆ POEZJI CZYLI O JEDNEJ PANI CO UMARŁA

TANIEC POŁO TAŃCZY SIĘ SOŁO — CO POETA CHCIAŁ POWIEDZIEĆ? — KOMU CIEMNO W OCZACH? — LITOSC I TRWOGA — DZIECIENNA ZABAWA WYDAWNICZA.

Z pisaniem bywa trochę tak jak z katarrem. Jest to przypadłość, której dość trudno się pozbyć. Bywa nieraz, że ludzie, centeni i przydatni w jakimś zawodzie za nic mają swoje zawodowe sukcesy a gotowi natychmiast oddać wszystko za splendor ujrzenia w druku czy na scenie swego utworu. Fakt, że najczęściej utwór na to nie zasługuje, nie stanowi dla dotkniętych „chronicznym piśnarsstwem” przeszkody.

Opowiadał Jerzy Jurandot, że pewien ceniony aktor estradowy wyzywał się w wolnych chwilach pisaniem tekstów piosenek. Nie cieszył się go popularność widowiska — marzył o ujrzeniu na afiszu swego nazwiska w rubryce „teksty napisał”. Niestety nic z tego nie wyszło, bo — jak mówi Jurandot — słowa piosenki zaczynały się tak: „Taniec poło tańczy się solo” a dalej „gdy brall

Odre, gdy brall Nyse, tańczył poło lowarzysze”... Czyli — zupełnie nieple...

Przypomniała mi się ta historia kiedy wziąłem do ręki „Wizytówkę” — piśmko wydane na powielacz przez Powiatowy Dom Kultury i Grupę Literacką w Radomsku. Przeczytałem solidnie i uważnie 20 stron tekstu. Przeczytałem apel o życiową krytykę oraz zapewnienie, że uwagi i propozycje przyjęte będą szczerze i z wdzięcznością...

Ja również chciałbym szczerze... Takie gazetki nie mają zupełnie sensu. Szkoda na nie czasu i energii — lepiej założyć jakiś Klub Dyskusyjny. Co za sens ma drukowanie (choćby na powielacz) złych felietonów, złych wierszy, złych fraszek! Zaspokojenie ambicji członków Grupy Literackiej!

Czytam w „Wizytówkach” taki utwór: „częstym następ-

stwem czasowej miłości są weneryczne dolegliwości”. Być może to prawda, ale z pewnością nie jest to fraszka tylko niesmaczny, rymowany wic. Albo taki utwór: „Złoty rogów i piór pawich — Nie przewidywał Wermyhora — Chłopi mają Dom w Warszawie — Literaci dom w Oberach”. No i co z tego? Czy to źle, że w Warszawie jest Dom Chłopa a Dom Pracy Twórczej w Oberach? O co tu chodzi? Żeby się zrymowało? W piśmku (fraszek) chodzi o coś więcej. Należy więc zaczynać od uświadomienia sobie tej prostej prawdy a dopiero potem myśleć o publikacji. Ni gdy odwrotnie, bo taka zabawa kończy się zazwyczaj rozczarowaniem.

Nie pisalibyśmy o tym, gdyby nie fakt, że w „Wizytówkach” można jednak znaleźć zapowiedź jakichś piśnarskich uzdolnień. Dlatego zaś mi zapalu tych ludzi, rozmieleniających się na drobne w dziecinnej zabawie w gazetkę. Ambicja wydawania piśmka jest ambicją fałszywą. Jest demoralizująca łatwiną prowadzącą do zaniku samokrytycyzmu i do braku selekcji.

Efekt są potem niedobre i daleko głośniejsze. Efekt są widoczne w piśmiskach prawdziwych, w zalewie grafomanii usankcjonowanej przez druk. Przed paroma dniami ukazał się nowy numer dwutygodnika „Pomorze”,

gdzie uznano za potrzebne opublikować wiersz pana Ryszarda Milczewskiego-Bruno.

Młodym piszącym z Radomska zademonstruję ten utwór jako przykład do jakich wyników można dojść na tym polu: Oto pisze pan Milczewski:

„W oddechu cmentarz masz czy co
Gdy warkniesz przez sea te puchacz
Albo sowa w duszy ci na motorze siedzi
A w oczach to ci chyba ciemno no też
Choć lampka przez słomę pel ga i ja”

Co prawda pan Milczewski nie adresuje tego wiersza do mnie tylko do jakiejś pani, która „jest taka umarła” — jak to zgrabnie spreżyował, ale mnie robi się w oczach ciemno też. I już nie wiem czy w oddechu cmentarz mam czy co, ale w duszy mej, co prawda nie sowa na motorze, lecz rozpacza czarna, śmiech pusty a potem litosc i trwoga... I nie na to nie pomoże nawet lampka, która pelga przez słomę razem z panem Milczewskim...

Lecz pan Milczewski nie zrażony upiera się dalej: „Zgasił przez przywłazanie kogo do czego po co Jesteś dla mnie taka umarła i już”
No i macie! Uparli się, że jest umarła i gada z takim! Ale właściwie „kogo do czego po co?” I w ogóle z czym

do gościa. W końcu zresztą pan Milczewski zdecydowanie acz niekonsekwentnie kończy wiersz o tej pani zwrotem „jakaś żywa”. Włec jednak nie umarła... Siaba to pociecha, bo wiersz jest mi mo wszystko o śmierci. Śmierci poezji. Tak, tak. Nieostrożne obchodzenie się z poezją prowadzi do bełkotu.

Na szczęście młodzi piszący z Radomska do tego jest cze nie doszli. Nie grozi im zresztą akurat ten rodzaj grafomanii. Grozi im co innego: pływacz i banal i samouspokojenie. Ten ton dostrzęgam w „Wizytówkach”. Kpinki z literatów, kpinki z dziennikarzy, my tu panie dzieje w Radomsku swoje wlemy... W ten sposób tworzy się mikroświat, z którego wspaniale trudno wyjść. Własne piśmko jest dobrodzieństwem na krótką metę — drukować można rzeczy po niżej wszelkiego poziomu — tak jak w „Wizytówkach”. Ale co potem? Pozostać tylko na lamach „Wizytówek”? Nie warto. Próbować gdzieś indziej! Rozczarowanie. Dla tego bardziej potrzebne i efektywne wydaje mi się działanie Grupy Literackiej na niwie kulturalnej niż dziecinna zabawa wydawnicza, która niczemu nie służy. A w ogóle to trud pisarza jest trudem samotnym — to taki taniec poło, który się tańczy solo.

JERZY WIDOK

Bez strachu

... Gąski, gąski boicie się Czarnego Luda?!

PRAWDA O CZARNYM LUDZIE

JA: A więc to Pan jest Sprawozdawcą Metafizycznym i godzi mi się opowiedzieć prawdę o życiu i o śmierci Czarnego Luda. Słucham z zrozumiętym napięciem.

SPRAWOZDAWCA METAFIZYCZNY: Obawiam się, że niewiele zdolam Panu opowiedzieć o Czarnym Ludzie, Pan jest wymagający — ponadto w pytaniu swoim zawarł Pan pewne założenia, to mianowicie, że Lud żył i umarł.

JA: Co takiego? dopuszczal Pana przed swoje oblizcze, udzielił Panu wywiady prasowe — mówił o swoich poglądach, pragnieniach i tęsknotach. Określał podobno nawet liczbę dzieci, dzieci i gąsek, które zamierza spożyć.

SPRAWOZDAWCA METAFIZYCZNY: Wszystko to jest skomplikowane — czy nie przyszło Panu na myśl, że Lud mógł istnieć, a nie żyć, krzesło, na którym siedzę, prawdopodobnie istniało, a przecież prawdopodobnie nie żyje. Ponadto Czarny Lud mógł dla jednych ap. dla gąsek istnieć, a w tym czasie dla innych nie istniał.

JA: Ale dla Pana, dla Pana czy Lud istniał?

SPRAWOZDAWCA METAFIZYCZNY: Mogł przeżyć w pewnym okresie mego życia żyć, bądź istnieć dla mnie, a w innym okresie mego życia odzarzać mnie swoim kompletnym nieistnieniem, być może w tym drugim okresie bytował sobie dla innych ludzi, a może zgolił dla nikogo — to znaczy dla nikogo bytował, bądź dla nikogo nie bytował. Trzeba jeszcze ustalić kim był nikt.

JA: Trzeba ustalić wszystko — swoimi dotychczasowymi wypowiedziami zagmatwał Pan sprawę. Mniejsza z takimi drobiazgami jak istnienie i nieistnienie, życie i śmierć — te sprawy przecież dla poważnych ludzi są bez znaczenia. Niech Pan ga da kim On naprawdę był — czy to był ktoś incognito?

SPRAWOZDAWCA METAFIZYCZNY: Zaczęło od końca. Wydaje mi się, że lubił dania pieczone, nie gardził jednak mięsiwem gotowanym, ani surowym. Czy miał szpony i czy naprawdę był czarny? Co to znaczy naprawdę? Widzi Pan, jeżeli bardzo chciałem, był czarny i szponiasty — gdy napiecie mego chęćca małało tracił spony i białe w moich oczach, czy Pan to rozumie, w moich oczach — to być może — tylko być może wyłącznie w moich oczach — ale nie na pewno wyłącznie.

JA: Właśnie, że nie rozumie.

SPRAWOZDAWCA METAFIZYCZNY: Bo widzi Pan ja mówiąc o nim, tworzę specjalny przyrządek do przedmiotu język. Chociaż mam poważne wątpliwości czy On jest przedmiotem i czy w ogóle był, jest i będzie.

JA: Niech Pan mi w końcu powie czy miał Pietra czy istniejąc lub nie istniejąc chciał Pana zerwać?

SPRAWOZDAWCA METAFIZYCZNY: Nie, nie, prawdę mówiąc On jeżeli istniał bał się mnie. Wyznam coś Panu, mimo, że traktuje mnie Pan opryskliwie. Otóż jeżeli istniał, zastrzegam tylko wtedy, jeżeli istniał i jeżeli zginął tylko wtedy jeżeli zginął — to ja, go załilem, to zginął z mojej ręki, a raczej zginął z moich słów.

JA: Jakże to były słowa? SPRAWOZDAWCA METAFIZYCZNY: Skąd się wzięła na świecie — kim Jesteś?

JA: Dziękuję Panu, Panie Sprawozdawco Metafizyczny za interesującą i miłą rozmowę.

BERNARD SZTAJNERT

DZIEWCZYNA NASZOSIE

Zawsze jest trudno wydo-
stać się z Nowego Orleanu,
ale ja byłem już spóźniony,
o dwa dni, tak że tego rana
wstałem wcześniej i o świ-
cie byłem już na szosie pro-
wadzącej do Baton Rouge.

Daleko jest od Nowego
Orleanu do Dallas, a dwa
razy musiałem przerwać jaz-
dę. Raz aby odwiedzić nasze-
go hurtownika w Baton
Rouge, drugi zaś raz, aby
zajrzeć do przedstawiciela
w Shreveport. Musiałem się
śpieszyć, aby zdążyć na
dwudniową konferencję w
Dallas, a byłem spóźniony,
bo przemarudziłem za dużo
czasu w dzielnicy francuskiej,
gdzie jest mnóstwo ba-
rów i dansingów. Prawdopo-
dobnie każdy komiwojażer,
który objeżdża okręg między
Florydą i Teksasem traci du-
żo czasu na tego rodzaju lo-
kale rozrywkowe i potem
musi jakoś nadrobić stracony
czas.

Poprzedniej nocy siedzia-
łem w takim właśnie lokalu,
na Bourbon Street, gdzie
przy małych lampkach pito
różne wódki i słuchano jaz-
zowej orkiestry. Była pół-
noc, a może nawet później,
wiedziałem, że powinienem
już wrócić do hotelu — ale
właśnie wtedy weszła na sa-
lę młoda dziewczyna i usia-
dła tuż obok mnie. Było za
ciemno, abym mógł się jej
dobrze przyjrzeć, byłem też
po wielu wódkach tak, że
nie wiem nawet czy była ład-
na czy nie, ani jak była ubra-
na. Czulem tylko zapach jej
perfum, silny, natarczywy
zapach od którego trudno
się uwolnić.

— Niech się pani czegoś
napije — zaproponowałem.
— Dziękuję — odpowie-
działa — to bardzo miło z
pana strony

Nie wiem co sobie zamó-
wiła, bo tylko kiwnęła głową
do barmana, a on podał
jej kieliszek — wyglądało
to na czystą whisky. Wypiła
ich trzy jedną po drugiej.
Ja z trudnością utrzymywa-

łem równowagę i wiem, że
musiałem oprzeć się obiema
rękami o stół, aby nie spaść
z krzesła.

Potem pamiętam tylko, że
dziewczyna objęła mnie za
szyję i coś szepotała mi do
ucha.

— Niech pan wyjdzie za
mną za chwilę na dwór.

— Po co?
— Zaczekam na pana tuż
za rogiem, tam panu powiem.
Niech się pan pospieszy.

Gdy tylko dziewczyna ode-
szła od stolika podszedł do
mnie barman i zażądał zapła-
ty. Dałem mu dwudziestodo-
larowy banknot — więcej
nie miałem przy sobie, portfel
leżał spokojnie w hotelu.
Wydał mi mniej więcej pięć
naście dolarów reszty.

Po wyjściu z baru pod-
szedłem do rogu, ale dopie-
ro, w ciemnej bocznej ulicz-
ce zobaczyłem, że stoi tam
dziewczyna. Było za ciemno,
aby móc się jej przyjrzeć,
lecz poznałem, że to ta sa-
ma, gdy wciągnęła mnie do
ciemnej sieni i oparła się o
mnie. Owionął mnie odurzają-
jący zapach jej perfum.

Nagle poczułem mocne
pchnięcie w okolicę żołądka.
Spojrzałem w dół — słaby
promień światła strzylał się
na lufie rewolweru.

— Niech mi pan da całe
pieniądze, jakie pan ma.
Prędko! — powiedziała
ostrym szepcie.

Sięgnąłem do kieszeni i
wyjąłem wszystkie banknoty.
Dziewczyna wyrwała mi
pieniądze z ręki i mocniej
pchnęła mnie rewolwerem.

— Nie mów o tym nikomu!
Ani słowa! Zle by się
dla ciebie skończyło, Bobie.
Czulem, jak dygocze jej rę-
ka uzbrojona w rewolwer.

Straciłem tylko koło pię-
nastu dolarów i pamiętam,
że mniej byłem tym poruszony,
niż faktem, że nazwała
mnie Bobem. Może... wzięła
mnie za kogoś innego, za
kogoś, kogo znała? Ale za-
nim zdążyłem się odezwać,
dziewczyna już uciekała ciem-
ną ulicą.

Pamiętam, że wróciłem po-
tem do hotelu i że postanowi-
łem wyruszyć bardzo
wcześnie rano. Tak też zro-
biłem, ledwie świtało już by-
łem w drodze. Wydołałem
się szybko z ruchu wielkiego
miasta i znalazłem się na
szosie, gdzie nie obowiązują
ograniczenia szybkości. Zo-
baczyłem, że na skraju dro-

gi stoi ktoś z ręką podnie-
sioną do góry. Zwykle nie
zabieram autostopowiczów,
ale tym razem zwołałem.
Jechałem teraz z szybkością
może trzydziestu mil i zbli-
żając się do stojącej przy
szosie postaci zobaczyłem,
że jest to młoda, może dwu-
dziestoletnia dziewczyna,
ubrana w jaskrawą bluzkę i
przyciasne, czarne spodnie.
Włosy miała potargane
przez wiatr.

Zahamowałem. Wóz stanął.

Dziewczyna uśmiechała
się do mnie z jakąś pogodną
ufnością. Pomyślałem, że
nie wygląda tak jak zwykle
wyglądają autostopowicze,
którzy przeważnie są niepo-
rządnie ubrani, często brudni
i nachalni.

Dziewczyna stojąca obok
wozu była czysta i schludna,
miała świeżo umyte włosy,
wyglądała tak, jak szkolne
dziewczeta robiące jakąś ma-
łą wycieczkę. Nie miała ba-
gażu, lecz tylko dużą torbę,
która zwisała jej na ramie-
niu.

Nie wiem, czy czulem się
specjalnie samotny, czy też
dziewczyna wywarła na
mnie tak dobre wrażenie,
w każdym razie uśmiechną-
łem się i otworzyłem drzwicz-
ki samochodu.

— Baton Rouge? — spyta-
łem.

Nie odpowiadając kiwnęła
tylko głową i natychmiast
usiadła obok mnie. Podczas
gdy starałem się przegonić
jadące przed nami samocho-
dy, dziewczyna otworzyła
swą wielką torbę, wyjęła z
niej papierosa i zapaliła.
Pewnie z uwagi na przygo-
dę, jaka mnie spotkała po-
przedniej nocy, rzuciłem o-
kiem do torby ale nie zoba-
czyłem tam nic ciekawego.
Poza tym dziewczyna nie ro-
biła wrażenia osoby, która
by posługiwała się rewolwe-
rem.

Z pewnością jednak nie
mogła nosić broni w spod-
niach, gdyż były tak obcisłe,
że oblepiały ją jak skóra.
Uśmiechnąłem się sam do
siebie myśląc, że jeżeli bym
miał być obrabowany przez
autostopowiczą, to musiałby
to być ktoś mniej atrakcyj-
ny.

Przejechaliśmy dziesięć czy
piętnaście mil, gdy otwo-
rzyłem radio Zabrzmiła jak-
ś muzyka, ale dziewczyna
pochyliła się i przekreśliła
na jakąś inną, taneczną me-
lodię. Po raz pierwszy od
chwili, gdy wsiadła do wozu
wydało mi się, że czuję ja-

kiś dziwnie znajomy zapach
perfum, lecz szybko zapom-
niałem o tym.

— To jakaś znana melo-
dia, prawda? Coś takiego,
jak grywają na Bourbon
Street? — spytałem.

— Tak. Tylko tam słyszy
się autentyczny jazz.

— Pani dużo wie na ten
temat?

— Może trochę.

— I na temat Bourbon
Street także?

— Dlaczego pan to powie-
dział? — rzuciła mi ostre
spojrzenie.

— Pomyślałem, że ta mu-
zyka pasuje do Bourbon
Street.

— Być może — patrzyła
wprost przed siebie.

Przez chwilę panowało
milczenie. Dziewczyna gryzła
wargi.

— Dokąd pani jedzie? —
spytałem.

— A pan?

— Do Baton Rouge.

— Tylko? A dalej nie?

— Do Shreveport. Czy to
lepiej?

— Lepiej.

— Czy pani mieszka w
Shreveport?

— Nie. Ale lepiej.

Wytłumaczyłem jej, że bę-
dę musiał na jakąś godzin-
kę zatrzymać się w Baton
Rouge, aby przyjąć zlecenia
od naszego przedstawiciela.
Gdy tylko wysiadłem, dziew-
czyna oparła się wygodnie
o poduszkę i zaczęła spać.
Zalutuiwszy sprawy firmo-
we, wsiadłem znowu do wo-
zu i nie budząc jej postano-
wiłem wyjechać z miasta i
zatrzymać się na obiad
gdzieś dalej.

Byliśmy mniej więcej w
połowie drogi między Baton
Rouge i Aleksandrią, gdy
poczułem mocne pchnięcie
w bok. Pierwszą myślą, jaka
przyszła mi do głowy było,
że dziewczyna miała widocz-
nie jednak ukryty w torbie
rewolwer.

— Zjedź z szosy i stań —
powiedziała rozkazującym to-
nem. — I nie gaś motoru.

Mijały nas różne samocho-
dy, ale było wątpliwe, czy
któryś by stanął nawet, gdy
bym zaczął wołać o pomoc.
Ponadto bałem się, że dzie-
wczyna rzeczywiście strzeli.
Zrobiłem więc dokładnie to,
co kazała, a gdy wóz już
stał na brzegu szosy dzie-
wczyna dodała nie odejmując
rewolweru:

— Wysiadaj i stań po dru-



giej stronie rowu. I nie pró-
buj wyjmować kluczyka.

Otworzyłem drzwi, wysia-
dłem i przeskoczyłem przez
row. Podczas tego dziewczyna
szybko wsunęła się za
kierownicę, ale rewolwer
wciąż jeszcze był skierowa-
ny wprost na mnie.

— Dziękuję za przejazd-
kę — powiedziała z uśmie-
chem. — Teraz ty możesz
jechać dalej autostopem. Zo-
baczymy, czy ci się uda.

— A co będzie z moim
wozem?

— Nie martw się. Znaj-
dziesz go w Shreveport, w po-
bliżu głównej poczty.

— Dlaczego to robiłaś? —
spytałem. — Przecież i tak
byłbym cię zawiózł do Shrev-
port.

— Bałam się, że każesz
mnie zaarrestować. A ja mu-
szę odwiedzić matkę. Jeżdżę
do niej co czwartek i zawo-

zę forszę na lekarstwa i na
doktora. Gdybym się tam
dziś nie pokazała, matka by-
łaby zaniepokojona.

— Dlaczego myślisz, że
kazałbym cię aresztować?

— Bo mogłeś sobie przy-
pomnieć o tym, co ci się
zdarzyło ubiegłej nocy w
Nowym Orleanie o ile nie
zorientowałaś się już przed-
tem, Bobie!

— Wcale nie nazywam się
Bob — zaprotestowałem. —
Mam na imię Walt.

— Nazywam każdego Bob,
tak dla uproszczenia.

— I tak nazwałaś mnie
zeszłej nocy. — Nagle zda-
łem sobie sprawę, że to ta
sama dziewczyna.

— Naprawdę? — roześmia-
ła się — Dlatego właśnie od
jeżdżam teraz w pościechu.
Za dużo myślisz, Bobie!

(opr. m. r.)



Lewym okiem

W ŻOŁĄDEK JAJ

„Niewiasta wdzięcznie i milej wygląda w suk-
ni niżli w kaltanie” — pisał Ludwik, król Fran-
cuzów, do swego przyjaciela Joinville'a. Był po-
czątek wieku XIII i po raz pierwszy w historii
damy „przyodżnane wielce obcisłe”, zaczęły róż-
nić się strojem od mężczyzn. Ten niewieści strój
zwał się „souquenille”, skąd aż do dziś nasze pol-
skie suknie i sukienki. Jeśli tak było naprawdę
— a wypada chyba wierzyć autorom „Historii
kultury francuskiej”, Robertowi Mandrou i Geor-
gesowi Duby — to oznacza to, że tylko w okre-
sie naszego kalendarza przez tysiąc trzysta lat
obie płcie ubierały się jednakowo, a zaledwie
przez sześćset lat — odmiennie. Nie ma więc po-
wodu do rozziewiania szat nad laktem, że wśród
naszej dzisiejszej młodzieży nijak płci po szatach
nie rozróżni. Młodzież nawiązała po prostu do
tradycji z wczesnego średniowiecza.

Przeżywamy jak wiadomo stulecie seksu, wy-
zwalanego z resztek osłonek. Czy chodzi o agral-
ki, czy o prasy mimośrodowe — i te i tamte re-
klamuje się przy pomocy przemysłnie rozebra-
nych babek; nie ma już ani jednego filmu, zwła-
szcza wśród tych dozwolonych od 14 lat, bez ta-

rzania się po łóżkach nagich ciał; młodzieńskich
chłopców i dziewczęta napuszczają się na siebie
w niektórych krajach, stwarza im okazje, zachę-
ca matczynym słowem — żeby aby nie nabyli
kompleksów. Ja się nie gorszę, absolutnie. Prze-
ciwnie, podoba mi się powieźnienie pewnego
starszego pana: od tego nikt nie umarł, a wielu
się urodziło. Zdumiewa mnie natomiast jakiś
kranicowy brak konsekwencji w tej zabawie.

Bo oto eksponujemy sprawy płci gdzie się
tylko da i jak się da, a jednocześnie w naszym
codziennym obyciu zamazujemy na siłę, za
wszelką cenę, różnicę między nim a nią. Prym
w inicjatywie dzierżą przy tym panie, co tłumaczą
sobie ich uroczą przewrotnością. Wymyśliły
sobie ideał „nastolatki Twiggii płaskiej jak li-
stewka i chudej jak pajak na strychu. Ubrały
toto w spodnie, marynarkę, krawaty, obcięły mu
włosy na pruskiego żandarma, teraz chodzą te
szkielety pruskich żandarmów z rękami w kie-
szonkach, mówią głośno i soczyście, palą bez
przerwy i czują się wyzwolone. Z czego wyzwolo-
ne?

Żeby już niczym się nie różnić, pewna Angiel-
ka, pani Dorothy Ward, żąda dopuszczenia ko-
biet do gry w piłkę nożną, mało tego — do two-
rzenia koedukacyjnych, dwupłciowych drużyn.
Małuczko, a nasi bokserzy spotykają się na rin-
gach z przeciwniczkami wagi piórkowej — toż
to będzie na co patrzeć! „W żołądek jaj!” — ryk-
ną kibice. „Organizmem, organizmem!” Potem je-
go wyniosą bez przytomności, a ona pozdrowi
przez mikrofon mamusię i tatusię.

Bęcwał, ubrany w koronki i strusie pióra, za-
śpiewa ku nieprzytomnej radości tysiąca bęcwa-
łek: „Nie, przynosi mi kwiatów, dziewczyno...”

Znacie tę piosenkę, to przecież jeden z najnow-
szych przebojów. Widocznie teraz dziewczyny
dają kwiaty chłopcom, są wyzwolone, mają pra-
wo. A chłopcom już się kwiaty sprykrzyły, już
mają dość. Co im jeszcze dacie, panienki?

Pani magister Maria Cz. w „Kobiecie i Życiu”
z listopada ub. roku uważa, że wcześniejszy wiek
emerytalny dla kobiet jest ich dyskryminacją.
Jest w tym jakaś racja, skoro wszystkie staty-
styki świata stwierdzają, że kobieta jest płcią
silniejszą i żyje znacznie dłużej od mężczyzny.
Pobiera więc tę rentę i pobiera. Podobno w Mo-
skwie kobiety obrażają się za ustąpienie im
miejsca w tramwaju (też wyczytałem to w cyto-
wanym tygodniku), bo uważają, że w ten sposób
traktuje się je jak niedołęgi, jak istoty słabsze.
Sam nie chciałem iść nigdy na rentę, ale to
nie znaczy, że chciałem renty nie dożyć,
tylko że chciałem do setnego roku życia być
sprawnym do pracy. A z tą sprawnością różnie
po sześćdziesiątce bywa, różnie także u różnych
płci i przed sześćdziesiątką też różnie — i to
właśnie dlatego nie ma koedukacyjnych drużyn
piłkarskich ani wyścigów damsko-męskich, ani
boksu męsko-żeńskie. Skoro na tych odcin-
kach honorujemy la petite difference — to już
wyłom zrobiony, to znaczy, że czymś się różni-
my. Śmieszne, przeciwne naturze jest gwałcenie
tych różnic. Jeszcze śmieszniejsza — zamiana
tych ról, jaką daje się obserwować w obyczaj-
owości. Jeżeli pojawiają się na ulicach młodzieńcy
w sukniach, z przyprowadzonymi rzesami, upudro-
wani, przepuszczani przodem przez dziewczęta
i płaczący na widok myszy — ogłoszą generalną
klapę stulecia seksu i wyjadą. Ale dokąd? Do
domu rencistów?

CWIEK.